



## PIERWSZEGO DNIA

do szkoły biegnie się radośnie... Tyloma wrażeniami wakacyjnymi trzeba przecież podzielić się z kolegami! Później—różnie będzie; wiedzą o tym zwłaszcza dzieci starsze, które poznały już gorzki smak „dwój”. Wierzmy, że w nowych pięknych szkołach, w których tysiące dzieci rozpoczęły w tym roku naukę — prawo obywatelstwa będą miały tylko piątki i czwórki. Powodzenia w nauce!

Fot. „ŚWIAT” — K. Jarochoński

Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA Z KRAJU I ZE SWIATA

ZE SWIATA ZE SWIATA ZE SWIATA ZE SWIATA ZE SWIATA

## PRZED „DNIEM KOLEJARZA“

Paweł Rychlicki — zawiązawca stacji Szczecin-Port Centralny wita swe święto — „Dzień Kolejarza“ — poważnymi sukcesami w dziedzinie stosowania zestawów ciężkich pociągów wg radzieckiej metody Łunina. Dzięki takim jak Rychlicki, nasza kolej wysunęła się na jedno z przodujących miejsc w Europie pod względem tempa wzrostu przewozów. Przewozy towarowe w roku bieżącym w stosunku do roku 1949 wzrosły o przeszło 92 mln. ton. W tym samym czasie PKP zwiększyły zdolność przewozową o 40 mln. ton rocznie. W okresie realizacji Planu 6-letniego nasi kolejarze zaoszczędzili około 4,2 mln. ton węgla.



Fot. CAF

## DOBIERAMY DO TWARZY I FIGURY



Fot. CAF

Nasz handel uspołeczniony lepiej niż w latach ubiegłych przygotował się w tym roku do rozpoczęcia roku szkolnego. W sklepach z odzieżą uczniowską przeżywają się co dnia tysiące młodocianych klientów i klientów. Jakkolwiek fartuszki i mundurki szkolne wydają się podobne do siebie jak dwie krople wody — w rzeczywistości nie tak łatwo wybrać sukienkę, która nie wymagałaby poprawek. Ekspedientki zasłużyły sobie na pochwałę: z anielską cierpliwością dobierają odzież, dokonują przymiarek. Chłopców łatwiej zadowolić — kobiety są bardziej kapryśne — nawet jeśli nie przekroczyły 10 roku życia...

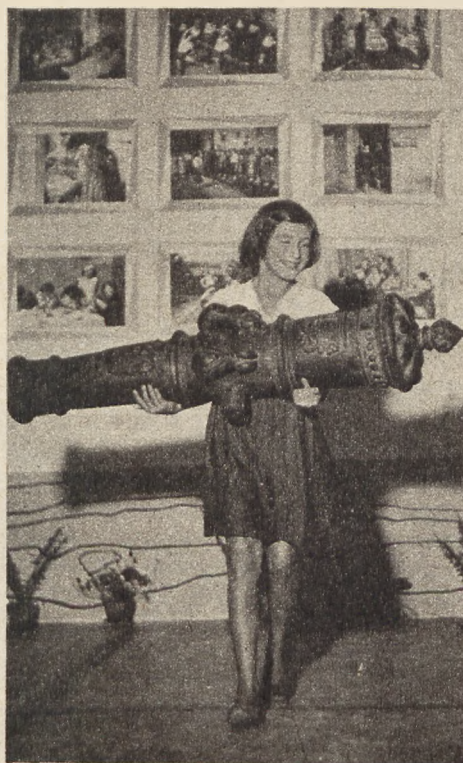
## UPRAWIAMY KUKURYDZĘ

Dziewięćdziesiąt powiatów prezentuje na regionalnych wystawach rolniczych swój dorobek w dziedzinie rolnictwa. Powiatowe wystawy cieszą się — tak jak i w roku ubiegłym — dużym zainteresowaniem rolników. Ciekawe są zwłaszcza porównania w dziedzinie uprawy tych samych zbóż na różnych terenach. Na zdjęciu — jedno ze stoisk w Kutnie, ilustrujące wzrost uprawy kukurydzy.



Fot. CAF

## „10 LAT OŚWIATY“



Fot. Świat — J. Kosidowski

Przechodząc koło Warszawskiego Uniwersytetu warto zboczyć, aby zobaczyć ciekawą wystawę zorganizowaną przez Instytut Pedagogiki pn. „10 lat oświaty w Polsce Ludowej“. Obrazuje ona opiekę nad dzieckiem, pracę i ofiarny trud nauczyciela, słowem nasze ogromne sukcesy oświatowe od lipca 1944 aż po dzień dzisiejszy. Oto „armata“ wykonana przez uczniów szkoły rekwizytów teatralnych.

SWAT

## NASZA KRONIKA



**W**YBACZCIE mi w dzisiejszej kronice wiele cytat. Chciałbym, posługując się nimi, wyrazić pewne rzeczy. Po co motać nieudolnie własne słowa, gdy pewne rzeczy już jasno, dawno, niedawno lub bardzo dawno, zostały powiedziane.

**W**ŁADZE francuskie w Maroku i w Algierze stosują zasadę zbiorowej odpowiedzialności i zasadę zbiorowego odwetu. W związku z walką znów podjętą przez Marokańczyków i Algierczyków władze francuskie oświadczają, że to tubylcy zaczęli. Wobec tego wojska francuskie i Legia Cudzoziemska mogą stosować wszelkie dopuszczalne i niedopuszczalne metody, gdyż rzekomo działają w obronę własnej i w obronę Francji. Ta argumentacja byłaby słuszna, gdyby Francuzi znajdowali się we własnym kraju. Ale oni przecież znajdują się w kraju obcym. Czyli że wszelkie wywody na temat „kto zaczął“ prowadzą jednak do oskarżenia Francuzów, którzy przecież znajdują się nie u siebie.

Płoną wsie i miasteczka marokańskie. Odbijają się masowe egzekucje. Chcecie wiedzieć dokładnie, jak to wygląda. Przypomnijcie sobie niedawne czasy hitlerowskiej okupacji. Trudno nie przyznać racji zachodnio-niemieckiemu pismu „Generalanzeiger“, które pisze:

„Zniszczenie przez wojska francuskie dziewięciu miasteczek algierskich w odpowiedzi na masakrę w Oued-Zem przypomina nam, Niemcom, wydarzenia ostatniej wojny. Pamiętamy o czeskim miasteczku Lidice, zniszczonym z powierzchni ziemi za zamordowanie Heydricha. Wszyscy mężczyźni zamieszkujący to miasteczko zostali zabici. Pamiętamy o potwornej masakrze w Oradour, gdzie nie tylko wyróżniło 180 mężczyzn, lecz również ponad 400 niewinnych kobiet i dzieci...”

Do tej skromnej listy masowych hitlerowskich odwetów dodać moglibyśmy naszą długą listę, poczynając od Wawra, a kończąc na warszawskim powstaniu i na masakrze więźniów w Łodzi. Ale cytujemy dalej:

„My — Niemcy mamy wprawdzie niewielkie prawo, aby występować

przeciwko francuskim akcjom w Afryce Północnej, jednakże zagadnienie słuszności tego rodzaju zbiorowych represji jest dla nas szczególnie drażliwe ze względu na nasze doświadczenia z niedawnej przeszłości. Jeżeli wśród stosów ciał w dymiących algierskich miasteczkach znajduje się choć jeden niewinny człowiek wśród tysięcy winnych, wówczas inspiratorów tych represji należy oskarżyć o zbrodnię przeciwko ludzkości na równi z nieodpowiedzialnymi inspiratorami morderstw w Lidicach i Oradour“.

**K**TO ZACZĄŁ? Władze francuskie twierdzą, iż to 20 sierpnia zaczęli Marokańczycy i Algierczycy. Czyżby rzeczywiście historia stosunków tych narodów z kolonizatorami francuskimi zaczęła się tego właśnie dnia? Tu nastąpią nowe cytaty. Na świadka powołujemy osobę nie podejrzaną o sympatię dla walczących o wolność. Jest nią ni mniej ni więcej, tylko Sławoj-Składkowski, ostatni premier Polski przedwrześniowej, który obecnie w Londynie publikuje swoje wspomnienia. Jedno z tych wspomnień dotyczy wizyty, jaką wojskom francuskim w Maroku złożył ówczesny pułkownik Składkowski w roku 1924.

Toczyły się już wówczas walki między miejscową ludnością i najeźdźcami. Jakie metody stosowali Francuzi? Składkowski opisuje swoją wizytę w wysuniętym daleko od Fezu forcie Kelaa-sur Mdez. U komendanta fortu, majora francuskiego zjada dobry obiad:

„— Teofil, kawę podacie w drugim pokoju! — mówi major. — Jest pan tu pierwszym obcym oficerem w forcie. Musimy to uczcić odpowiednio.“

Wychodzimy na nieduży, kamiennymi wyłożony dziedziniec, na którym stoi działo polowe, skierowane na wznoszące się za rzeczką pologie góry. Major gwizda dwa razy i z wartowni wyskakuje dwóch podoficerów.

— Na cześć polskiego pułkownika dwa granaty w tę wieś — woła uroczyście major, wskazując małe, białe osiedle na zboczu poszytych zielenią wzgórz.

## RUCH ULICZNY Z LAT ...OSIEMDZIESIĄTYCH



Fot. Keystone

Gdybyśmy skreślił za najbliższy róg, ujrzelibyśmy pędzące limuzyny... W tym zakątku miasta Chelsea ruch uliczny wygląda trochę dziwnie: ekstrawagancki cyklista, staromodny dyliżans, wóz zaprzężony w osiołka... Tak właśnie wyglądała ulica w roku 1880, kiedy to bohater powieści Juliusza Verne, pan Fogg, postanowił dokonać podróży dookoła świata w 80 dni. Obecnie jedna z wytwórni przystąpiła do realizacji filmowej słynnej powieści Verne'a. W filmie tym wystąpi znany komik Cantiflas (na rowerze), zwany „Charlie Chaplinem Południowej Ameryki“. Inscenizacja ruchu ulicznego w Chelsea zapowiada, że przygody pana Fogga przedstawione będą w sposób realistyczny.

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

— Ależ majorze — protestuję — jestem już dosyć uczczony, to niepotrzebne.

Major patrzy na mnie jak na wariata, przeży się i krzyczy:

— No to za Polskę i Francję: ognia!!

Stoimy na baczność, gdy raz po raz działo podskakuje rzygając hukiem i ogniem, a w nieszczęsne osiedle kładą się pióropusze brudnego dymu z głuchym: bum! bum!

— Dziękuję, chłopcy! No, teraz możemy iść na kawę! — woła zadowolony major popychając mnie, nieco zdrętwiałego, w kierunku swej izby...

Następnego dnia rano Składkowski opuszcza gościnny fort. Gdy wsiada do samochodu:

„W kierunku południa przeszły nagle z szumem nad naszymi głowami dwa ciężkie samoloty.

— Dokąd one lecą? — spytałem.

— A to śmieszna historia. Co czwartek powstańcy tam mają targ w dużej wsi. Od kilku tygodni bombardują ich nasze samoloty, a oni ciągle przyjeżdżają na targ, myśląc, że to ostatni raz“.

Udając naiwnego, Składkowski pyta, czy takie masakry są konieczne. W odpowiedzi na to major rozwija całą filozofię kolonializmu:

„Honor i ojczyzna to szumne, pękne hasło jest dobre tylko dla naszej armii, która ciągle dumnie nosi się w przywiedłym wawrzynie zwycięzców wielkiej wojny. My zaś, żołnierze kolonialni, bezimiennie walczymy tu... o oddech i dobrobyt. Dla tego oddechu my tu musimy iść dalej przez góry na południe, by ci tam w Pałacu Burbonów deklamować mogli o misji kulturalnej Francji w dziejach ludzkości i o demokracji; by bankierzy i giełdjarze mogli grać na wyżkę; by domy handlowe Marsylii mogły rozpychać towary zamorskie po całym świecie...“

Po przyjeździe do Paryża Składkowski zauważył, że wydarzenia, których był świadkiem, nie znalazły w stolicy żadnego echa:

„Na próżno szukałem wzmianki w gazetach lub interpelacji w parlamencie z powodu artyleryjskiego ostrzeliwania oraz bombardowania lotniczego wsi górskich. Widocznie były to „normalne“ zarządzenia administracyjne, jeżeli nie uznawane, to tolerowane przez stronnictwa polityczne i przez prasę“.

Tyle Składkowski o stosunkach w Maroku przed trzydziestu laty. Niech więc kolonizatorzy nie za-

czynają rachunków od 20 sierpnia 1955 r. Te rachunki zaczęły się już dawniej.

**Z** TYMI Marokańczykami, Algierczykami i innymi podbitymi ludami i kolonizatorami jest tak, jak w pewnej starej, polskiej powieści, gdy mówi człowiek podbitego, kolonialnego kraju:

„W historiach waszych napisano jest, iż zastaliście w tutejszej ziemi ludzi dzikich, srogich, zapalczywych, zdrańców, zabójców; podobno autor z siebie i z sobie podobnych brał model takowej definicji. Nie mogąc pojąć skutków waszej przemocy, z początku mieliśmy was za bogów albo przynajmniej za stworzenia doskonalszego od nas rodzaju. Żeśmy za słyszeniem ogromnego łoskotu waszej strzelby domów odstąpili i w lasy uciekli, z tej przyczyny nie mieli racji Europejczycy mianować trwożnymi tych, którzy rozumieli, iż piorunami na nich rzucacie. Charakter nasz skłonny jest do dobroci, ale podległy gwałtownym wzruszeniom, stąd poszło, jak zwyczajnie u zbyt wielu dobrych, iż gdyście nas uprawili w rozpacz, byliście niekiedy świadkami zbyt znacznej zemsty i okrucieństwa. Ale i w tym punkcie, kto by nas chciał usprawiedliwić, niech się w naszym stanie postawi, a uzna, że nie dość się jeszcze mścili ci, których najniegodziwszymi podstępami ludzono, zdzierano ze wszystkiego, męczono bez względu, na fundamenty nie inszego zapewne prawa, tylko zdrady, przemocy i łakomstwa...“

Przy okazji jedno sprostowanie. W ostatnim numerze „Nowej Kultury“ znalazła się krótka notatka recenzyjna z młodzieńczej powieści Wiktora Hugo, napisanej w roku 1825. W notatce tej napisano między innymi: „...jest powieść Wiktora Hugo pierwszą w literaturze powszechnej, w której autor opowiedział się za sprawą wolności ludów kolorowych“.

Bardzo cenimy humanizm wielkiego francuskiego pisarza, ale cytata przez nas podana pochodzi z powieści wcześniejszej niż „Bug Jargal“ Wiktora Hugo. Jest to bowiem powieść wydana w roku 1776! Wielka jej część poświęcona jest nie czemu innemu właśnie, jak pochwałę ludów kolonialnych i ich prawu do wyzwolenia. Bądźmy dumni z tego, iż już pierwszociny polskiej powieści niosą pochwałę wolności ludów.

Tytuł powieści: „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki“. Autor: Ignacy Krasicki.

IAN SZELAG

## NOWY ŚMIGŁOWIEC

Niezwykłymi zaletami odznacza się nowy śmigłowiec amerykański KH-15, którego pilot może manewrować aparatem balansując swym własnym ciałem. Zwany jest przez pilotów „stateczna Mabel“, ponieważ jest łatwy do prowadzenia. Śmigłowiec zabiera ładunek ważący dwa razy tyle co sam aparat i osiąga szybkość 60 km na godzinę.



Fot. „The Sphere“



Fot. „The Sphere“

Stany Zjednoczone dotknięte zostały wyjątkowo ciężką klęską powodzi, która nastąpiła na skutek gwałtownych opadów atmosferycznych. Na zdjęciu miasteczko w stanie Nowy Jork — pod wodą.

ZE SWIATA

ZE SWIATA

ZE SWIATA

ZE SWIATA

ZE SWIATA



## 66 LUDZI GINIE W KATASTROFIE

Parę tygodni temu w Niemczech Zachodnich miała miejsce wielka katastrofa lotnicza. Niedaleko miasteczka Freudenstadt, zderzyły się w powietrzu dwa amerykańskie samoloty wojskowe. Były to maszyny transportowe typu C-119. Zleciały one płonąc na las. Oddziały ratownicze ze względu na ogień nie mogły podejść do miejsca katastrofy. Z 66 ludzi załogi obu transportowców nie uratował się nikt.

Fot. The Illustrated London News

## DO TOKIO — NA PÓŁNOC LUB... NA POŁUDNIE

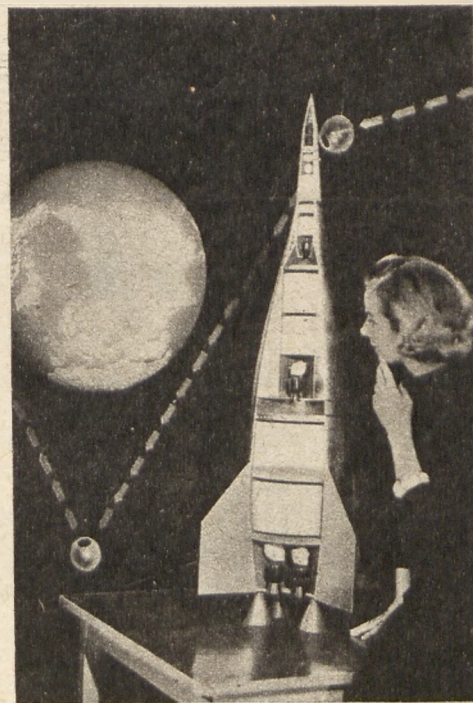


Fot. Keystone

Pasażerowie odlatujący z portu lotniczego Bodo, położonego o 1.000 mil na północ od Oslo, oglądać tam mogą szczególny drogowskaz. Oto na przykład droga do Tokio prowadzi na północ i na południe. Przy czym, dzięki uruchomieniu komunikacji lotniczej przez Biegun Północny, podróż tą trasą trwa 32 godziny, podczas gdy przez Indie—70 godzin...

## PRZED PODRÓŻĄ MIĘDZYPLANETARNĄ

Pierwszą podróż międzyplanetarną — której projekty stają się coraz bardziej realne — poprzedzi wyrzucenie z Ziemi sztucznego satelity. Oto model rakiety na Wystawie Radiowej w Earl's Court (Anglia). Szpiczaste zakończenie rakiety to właśnie sztuczny satelita; pozostałe części zawierać będą materiał napędowy i odpadną, kiedy już spełnią swą rolę.



Fot. Keystone

## POWÓDŹ W STANACH ZJEDNOCZONYCH



Fot. W. Prażuch.

# Ich czterech ...i beczka

**ZDZISŁAW BAKOWSKI** — doktor chemii, pracownik naukowy Przedsiębiorstwa Osuszania Budynków  
**WŁADYSŁAW STYPUŁKOWSKI** — dyrektor Przedsiębiorstwa Osuszania Budynków.  
**WŁADYSŁAW SKALMOWSKI** — profesor, doktor, pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej.  
**LUDWIK WARWASIŃSKI** — inżynier, pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej.

Oto czterech ludzi, tworzących zespół racjonalizatorów, którzy przez wiele miesięcy pracowali ciężko nad... awansem najmłodszego brata węgla — torfu. Posługując się sprzętem laboratoryjnym i prymitywnymi przyrządami opracowali oni przemysłową metodę produkcji koksu z torfu z jednoczesnym uchwyceniem wszystkich produktów ubocznych.

**W**ARSZAWIACY, nowohutniczanie, mieszkańcy Tych, Trójmiasta i ktoś to zliczyli innych miast Polski — znacie doskonale ten widok: nowowyprowadzone domy, a koło nich jakieś dziwne piece, od których — do okien, drzwi, na różne piętra — prowadzą grube, czarne lub rdzawe od deszczu rury. W piecach huczy bez przerwy ogień. Obok kręcą się ludzie, dosypują co chwila do palenisk. Wielu z Was wie, jaki cel mają piece i rury, co to za robota. A ilu nie wie?... Otóż Przedsiębiorstwo Osuszania Budynków suszy Wam nowe izby, biura, lokale sklepowe, suszy żłobki, przedszkola i szkoły — dla Waszych dzieci. Suszy je, abyście nie chorowali na gripę, aby nie „łamał Was w kościach” reumatyzm, abyście nie mieli kataru. Na pewno nie wiecie, że Przedsiębiorstwo to z pomieszczeń w nowych obiektach, rokrocznie budowanych w kraju, usuwa tyle wody, że gdyby ją nalać w cysterny kolejowe, to byłby to pociąg długości ok. 400 km, czyli od Gdyni do Warszawy.

Dobrze, dobrze — ale co to ma wspólnego z koksem z torfu? — zapytacie. Otóż ma. Aby dobrze osuszać nowe domy, Przedsiębiorstwo

Osuszania Budynków musi mieć koks i zużywa go co roku dziesiątki tysięcy ton. Ale koks potrzebny jest przede wszystkim w hutnictwie i w wielu innych gałęziach przemysłu. Potrzebny jest bardziej tam niż do osuszania budynków; ale przecież nie można mieszkańcom nowych izb oddawać wilgotnych pomieszczeń. A czy można palić w piecach, osuszających budynki czymś innym niż koks węglowy? Do niedawna jeszcze nie, ale dziś — tak: koksem z torfu.

Można palić koksem z torfu; ale jak go otrzymać w dostatecznych ilościach?

To pytanie nieraz zadawali sobie wymienieni przez nas na początku ludzie. Koks z torfu otrzymano po raz pierwszy 50 lat temu. Ale do dziś nie znano metody produkcji tego cennego paliwa na szerszą skalę. Taki koks produkuje się w Polsce pod Szczecinem, ale stosowana tam metoda daje niewielkie ilości paliwa.

Barak mieszczący biura Przedsiębiorstwa Osuszania Budynków przy Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie pamięta okresy budowy Trasy W-Z i Mostu Śląsko-Dąbrowskiego. W jednym z jego wielu pomieszczeń zbierali się racjonalizatorzy. Siniąło

powietrze od dymu z papierosów. W dwu oknach baraku przez dziesiątki wieczorów paliły się światła. Ileż było takich wieczorów? Nie liczono ich wtedy, nie liczy się ich teraz.

Czterech ludzi pracowało do późna, a domy suszono nadal koksem z węgla, bez większej nadziei, by można było palić czymś innym. Mijały dni, tygodnie, miesiące...

Może ktoś z Was, Czytelnicy, wybuchnie śmiechem — ale pierwsze pozalaboratoryjne próby otrzymania koksu przeprowadzono przy użyciu zwykłej, trochę przerobionej blaszanej beczki po benzynie. Pewnego dnia po godzinie 15-tej, gdy wszyscy rozeszli się już do domów, racjonalizatorzy opuścili swój pokój. Na dziedzińcu ustawiono beczkę, nałożono torfu, załajono wszystkie otwory — i rozpalono ogień. Próba odbywała się dlatego po południu, że istniało niebezpieczeństwo eksplozji. Wejść strzegli pilnie wartownicy. A racjonalizatorzy — choć na pozór spokojni — denerwowali się. Wybuchnie czy nie? Dyr. Stypułkowski zapalał jednego papierosa od drugiego. Dr Bąkowski machinalnie ocierał z czoła kropelki potu. Najspokojniejszy — prof. Skalmowski i inż. Warwasiński przechadzali się nerwowo. Jakże powoli wlokły się wtedy minuty i godziny! Zapadł zmierzch. Trasa W-Z jechali i szli beztrząsco ludzie.

Nie przypuszczali nawet, że zaledwie kilkadziesiąt kroków od nich kilku innych przeżywa gorące chwile zdenerwowania.

Z każdą chwilą w beczce burczało coraz bardziej. Gruba blacha, nie nabierając koloru rozpalonego żelaza, zdawała się jęczeć pod naporem czegoś, co działo się w jej wnętrzu. Nie pękała jednak. Mówiono mało. Wszyscy czekali z obawą. Wreszcie koło północy ktoś powiedział stanowczo: — „Nie wybuchnie!”

Nie wybuchła. Po 24 godzinach otwarto ciepłą jeszcze beczkę i w rękach racjonalizatorów znalazł się koks. Pobiegli czym prędzej do laboratorium. Badania. Jeszcze kilkadziesiąt minut nerwowego oczekiwania i... koks! Koks taki, jakiego potrzeba. Następna próba, wiele dalszych, następne męczące wieczory. I wnioski: koks z torfu jest bardziej kaloryczny niż koks węglowy, łatwiej daje się rozpałać, a po wypaleniu zostawia rozsypujący się żużel. A poza tym? To nie drobnostka: wiele cennych produktów chemicznych — gaz świetlny, smoła pogazowa, amoniak, kwas octowy i ściółka potorfowa.

Najważniejszy jednak rezultat — taki, jaki chcieli otrzymać racjonalizatorzy — to koks z torfu, który może zastąpić koks z węgla. Tym koksem można palić w piecach do osuszania domów, można palić w piecach centralnego ogrzewania i w różnych suszarniach.

A tę beczkę? — może spytacie. Zostawiono ją na pamiątkę. Możecie ją obejrzeć. Racjonalizatorzy chętnie pokażą.

Tak, pierwszy etap prac był już poza strudzonymi ludźmi. Ale nadchodził drugi, nie mniej ciężki. Nadeszły dalsze wieczory spędzane w przepelnionym dymem pokoju. Opracowywano dokumentację techniczną baterii koksowniczych i opisywano wynalezioną metodę. A jeszcze później rozpoczęły się podróże po Polsce.

Nie wiedzą na pewno mieszkańcy Podhala, a szczególnie Nowego Targu, Czarnego Dunajca i Suchej Hory, że tysiące hektarów okolicznych torfowisk, których nie są w stanie uprawiać, a eksploatują minimalnie — mogą stać się w najbliższym czasie terenami przemysłowymi. Znajduje się tu przecież wysokowartościowy torf, spoczywający od lat bezużytecznie.

Jak twierdzą racjonalizatorzy i jak stwierdziła komisja wynalazczości, po wybudowaniu baterii koksowniczych, przy produkcji 30 tys. ton koksu rocznie, złoża w tych okolicach mogą starczyć na 50 — 60 lat. Gaz świetlny, który wytworzy się w procesach technologicznych, użyty będzie można na oświetlenie ulic, do kuchenek w mieszkaniach itp. Ogółem starczyć go może na potrzeby 100 tys. rodzin. Otrzymane przy produkcji koksu z torfu produkty chemiczne będą tak cenne i będzie ich tyle, że według obliczeń, pokryją koszty produkcji koksu. A wtedy koks stanie się właściwie — produktem ubocznym.

Rezultaty ciężkiej i ofiarnej pracy czterech racjonalizatorów przeszły ich oczekiwania. Szukali do swych pieców, osuszających budynki, nowego paliwa. Nie tylko je otrzymali, ale opracowali nie znaną dotychczas metodę produkcji koksu z torfu.

Tak dzięki poświęceniu kilku ludzi najmłodszego brata węgla kamiennego — torf — ma obecnie możliwość wielkiego awansu.

Gdy czytacie o historii nowego wynalazku, opracowuje się już plan budowy kombinatu. A co robią nasi racjonalizatorzy? Dr Z. Bąkowski — chodzi wieczorami do teatru i kina — „odbija” sobie za dawne czasy. Dyr. Stypułkowski — powrócił do ulubionego sportu automobilowego i wyjeżdża często na wycieczki. Prof. dr Skalmowski — egzaminuje studentów Politechniki, inż. Warwasiński — podobno studiuje dalej tajniki torfu.

A może to nieprawda, może tak nie jest... Może znów wspólnie myślą nad czymś nowym.

**MIECZYSLAW LECH PRAŻMOWSKI**

# DATA WOLNOŚCI



Hanoi, 2 września 1945 roku. Prezydent Ho Szi Min odczytuje wobec 500.000 mieszkańców tego miasta Deklarację Niepodległości Wietnamu.

(Zdjęcie publikuje się w Polsce po raz pierwszy).

**D**

ZIESIĘĆ lat temu, 2 września 1945 roku, w wielkim parku Ba Dyng w Hanoi 500.000 mieszkańców miasta było świadkami proklamowania Demokratycznej Republiki Wietnamu i ogłoszenia Deklaracji Niepodległości.

Z okazji tej warto przypomnieć mało na ogół znaną kartę dziejów tego bohaterstwa narodu — okres walki z okupacją japońską.

Na początku jesieni roku 1940 naród wietnamski znalazł się w podwójnym jarzmie. francuskim i japońskim. We wrześniu bowiem tegoż roku (15 miesięcy przed atakiem Japonii na Pearl Harbor!) kwislingowski rząd Petaina zawarł z Japonią układ, zezwalający wojskom japońskim na swobodne poruszanie się po terytorium północnego Wietnamu. 23 września wkroczyły do Wietnamu — w myśl tego układu — wojska japońskie, które uzyskały w ten sposób nową bazę wypadową przeciw Chinom.

W czerwcu roku 1941 „rząd” Vichy podpisał z Japonią nowy układ. Oficjalnie nosił on nazwę „układu o wspólnej obronie Indochin”, a w praktyce oznaczał przekazanie Japonii całkowitej kontroli wojskowej nad Wietnamiem. Ale kontrola ta nie mogła jednak być nigdy w pełni zrealizowana — na przeszkodzie stanęła walka wyzwolenca narodu wietnamskiego. Jeszcze w marcu roku 1941 w północnym Wietnamie siły patriotyczne zorganizowały Demokratyczny Front Walki o Niepodległość Wietnamu — Wietmin. Wkrótce Wietmin przystąpił do stworzenia armii partyzanckiej. Organizatorem jej był doświadczony działacz rewolucyjny Ho Szi Min, dowódcą został młody nauczyciel historii Wo Nguen Giap.

Do roku 1944 jednostki partyzanckie wyzwoliły siedem okręgów północnego Wietnamu. Działalność partyzantów rozrastała się coraz mocniej na pozostałym obszarze kraju. Zmusiło to okupanta japońskiego, nie rozporządzającego dostateczną ilością sił woj-



Spotkanie prezydenta Ho Szi Mina z aktywistami rolnictwa Demokratycznej Republiki Wietnamu (r. 1954).

skowych dla stłumienia ruchu partyzanckiego, do zastosowania nowej taktyki: 9 marca 1945 roku Japończycy zlikwidowali administrację francuską w Wietnamie i przystąpili do rozbrajania wojsk kolonizatorów francuskich. Równocześnie dowództwo japońskie zaczęło organizować marionetkowe rządy w poszczególnych okręgach Wietnamu, usiłując stworzyć w ten sposób pozory niezależności kraju.

Koncepcja ta przepadła do gustu jedynie grupom wietnamskich obszarników, którzy z zapalem zgłaszali swój udział w owych „rządach”. Ale — dzięki energicznej wyjaśniającej akcji Wietminu — masy narodu nie połąkły japońskiego haczyka. 4 czerwca 1945 roku wszystkie wyzwolone obszary zostały połączone w jeden Rejon Wyzwolony, w którym rozpoczęła się realizacja demokratycznego programu Wietminu. Kiedy w sierpniu roku 1945 dotarły tu wieści o przystąpieniu Związku Radzieckiego do wojny przeciw Japonii i o klęskach armii kwantuńskiej w Mandżurii — stało się jasne, że nadszedł decydujący moment walki. W nocy z 13 na 14 sierpnia Wietmin rzucił hasło powstania ogólnonarodowego. Zaczęło się ono jednak nieco wcześniej, gdyż w prowincjach Ha Tyn i Kuang Ngai już 11 sierpnia mieszkańcy samorzutnie przystąpili do rozbrajania posterunków japońskich.

17 sierpnia wybuchł w Hanoi strajk powszechny, a w dwa dni potem władza w mieście przeszła w ręce Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

W kilka dni później zebrali się w Hanoi niemal wszyscy członkowie Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który — uzupełniony czołowymi działaczami społecznymi — przekształcił się w tymczasowy rząd. 25 sierpnia „cesarz” Bao Dai abdykował i uznał oficjalnie tymczasowy rząd republikański z Ho Szi Minem na czele. 29 sierpnia wkroczyły do Hanoi jednostki partyzanckie. 2 września w stolicy wystąpił — po raz pierwszy już publicznie — prezydent Ho Szi Min. W atmosferze nieopisanego entuzjazu proklamował on Demokratyczną Republikę Wietnam, pierwsze prawdziwie niepodległe państwo.

Ale kolonializm — widzimy to dobrze i dziś — niełatwo ustępuje ze swoich pozycji. Jeszcze we wrześniu 1945 roku pojawiły się w Wietnamie znów wojska francuskie. A odbyło się to następująco:

W czasie akcji wyzwolenia kraju wietnamskie oddziały partyzanckie nie rozbroiły w spoczynku jednostek japońskich, pozostawiając w spokoju te, które zachowały się biernie i nie przeszkadzały w organizowaniu nowej władzy. Pod pretekstem rozbrojenia tych właśnie jednostek — które zresztą rozbroiły się same, niszcząc swą broń — wkroczyły do Wietnamu południowego oddziały angielskie, a do północnego — wojska Kuomintangu. Z kolei zostały one częściowo zastąpione przez jednostki francuskie, które zdradzieckim napadem w dniu 23 września zajęły Saigón.

Przeszło rok prowadził następnie rząd francuski rokowania z Wietnamiem, by w grudniu 1946 roku wszcząć z narodem wietnamskim wojnę kolonialną, ową haniebną „brudną wojnę”, którą zakończyły dopiero w roku ubiegłym klęski francuskiego korpusu ekspedycyjnego i konferencja w Genewie.

Naród wietnamski obchodzi dziś dziesięciolecie wolności w warunkach tymczasowego podziału kraju. Ogólnowietnamskie wybory w lipcu roku przyszłego położą kres temu podziałowi. Należy wierzyć, że zwycięstwo w wyborach przypadnie tym samym siłom, które przed dziesięciu laty przyniosły Wietnamowi wolność.



ULICA JEDWABIU W WOLNYM HANOI — RUCHLIWA, KUPIĄCA ŻYCIEM, JAK I CAŁE MIASTO.



Casablanka. Oddziały Senegalczyków ścigające z Francji przygotowują się na jednym z placów do „akcji” przeciwko swym afrykańskim braciom.

W Meknes karabiny i bagnety uzbrojonych po zęby żołnierzy francuskich zwróciły się przeciwko bezbronnyim marokańskim kobietom, manifestującym swą nienawiść do kolonizatorów.



Legia Cudzoziemska, „wstawiona” w Wietnamie swymi okrucieństwami, używana jest w Maroku do zakrojonych na szeroką skalę akcji

## „PAMIĘTAJ

**Z**E WSZYSTKICH stron Algieru i Maroka co godzina napływają nowe, coraz bardziej wstrząsające wiadomości o krwawych masakrach, dokonywanych na powstańcach. „Akcja porządkowa” w obronie mienia francuskiego i... amerykańskiego przerodziła się w zacięłą walkę. „Pamiętajcie, nie bierzemy jeńców” — oto rozkaz, który w Kenifra wydali oficerowie żołnierzom Legii Cudzoziemskiej. Korespondent „L’Humanité” tak opisuje rzeź w Philippeville: „Jedna z ulic była formalnie zasłana trupami. Trupów tych nikt nie mógł zliczyć”.

Według oficjalnych danych w ciągu pierwszych 48 godzin powstania padło ponad 1000 osób.

Legioniści, rekrutujący się z mętów całego świata, okrucieństwem dorównują hitlerowcom: palą całe wsie, mordują ludność, rozstrzelują patriotów.

Kolonizatorom francuskim mimo potwornego terroru przeciwstawia się cały naród. Konne oddziały Berberów śpieszą na pomoc obleżonym dzielnicom arabskim. Francuzi powołują pod broń rezerwistów, sztab gorączkowo przerzuca samolotami świeże oddziały z Francji. Straty są olbrzymie, chociaż wobec wzburzenia opinii publicznej w prasie francuskiej cyfr się nie publikuje. Z walczącym ludem Maroka solidaryzują się w licznych wystąpieniach prawie wszystkie państwa Ligi Arabskiej. Przedstawiciele 17 państw bloku Azji i Afryki złożyli na forum ONZ wniosek, domagający się zwołania specjalnej sesji dla rozpatrzenia sprawy Maroka. Władze francuskie odwołały nowego rezydenta generalnego Grandvała. Pod naciskiem opinii publicznej w Aix-les-Bains prowadzone są pertraktacje z przedstawicielami marokańskiego ruchu narodowego.

Zdjęcia:  
PARIS MATCH I KEYSTONE

Najbardziej nieprzejednanym wrogiem marokańskiego ruchu narodowego są występujący zbrojnie kolonizatorzy francuscy.





pacyfikacyjnych. Setki zabitych i tysiące rannych Marokańczyków — oto plon działania oddziałów Legii, w których służy wielu SS-manów.

Zdjęcie, przesłane drogą radiową do amerykańskiej agencji „Associated Press” przedstawia łapanie na ulicach Casablanki. Czyż nie przypomina ono okupacji hitlerowskiej w Warszawie.

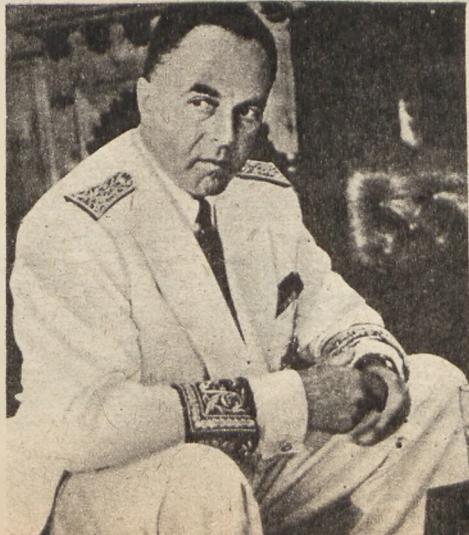
# CIE, NIE BIERZEMY JEŃCÓW”

Młodzi i starzy, dzieci i dorośli — wszyscy demonstrują przeciwko kolonializmowi i uciskowi ich ojczyzny. Walczą o niezawisłość narodową, o wolność Maroka.



Tłumy mieszkańców Casablanki protestują przeciwko metodom Grandvala.

Francuski rezydent generalny Grandval nie umiał znaleźć wyjścia z sytuacji



Tak wyglądają dzielnice nędzy w Casablance po przejściu oddziałów policyjnych. Na mizerne lepianki, w których żyje 1/3 ludności, kieruje się czołgi i działa



W Marakeszu i w innych miastach marokańskich, policja przetrząsa całe dzielnice. W razie „podejrzanej sytuacji” padają salwy. Znowu zabici i ranni Berberzy.



# OPERACJA „JAKOŚ TO BĘDZIE”

STEFAN ARSKI

**T**ERAZ zaczął się prawdziwy wyścig z czasem. Wydarzenia następowały po sobie z dramatyczną szybkością. 16 marca 1938 roku Hitler zajmuje Austrię. W październiku zagarnia Sudety. Zaraz potem, bo już 18 października 1938 roku, występuje z żądaniem zwrotu Gdańska i przystąpienia Niemcom eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Pomorze. Opinia polska nic o tym nie wie, bo rzecz jest ściśle zatajona przez sanacyjny rząd. Tak samo, jak rzeczywisty przebieg rozmów Hitler — Beck w Berchtesgaden i Ribbentrop — Beck w Warszawie w styczniu 1939 roku, kiedy to sprawa rozstrzygnięcia hitlerowskich postawiona została już na ostrzu noża. Ale ci, którzy nami rządzą, zostali w ten sposób zawiadomieni oficjalnie przez Hitlera, że na rozkładzie jego zaborów znalazła się z kolei Polska. 15 marca 1939 roku Hitler jest w Pradze. W kilka dni później „niepodległa” Słowacja staje się jego kolonią. Jeszcze świat nie ochłonął po tych wypadkach, gdy Hitler zajmuje Kłajpedę. I wreszcie, dnia 3 kwietnia 1939 r. wydaje Oberkommando der Wehrmacht dyktando do ataku na Polskę, oznaczoną kryptonimem „Fall Weiss”. 24 kwietnia 1939 Hitler zrywa pakt o nieagresji z Polską. A 1 maja OKW przedstawia Fuehrerowi do zatwierdzenia gotowy plan operacyjny przeciwko Polsce.

## JESZCZE NA WSCHÓD

Co się w tym czasie dzieje w polskim naczelnym dowództwie i sztabie głównym? I Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, i sztab mają pełne ręce roboty. Piszą o tym sanacyjni generałowie w swym londyńskim dziele\*):

„W latach 1936 — 1938 sztab główny cały swój wysiłek poświęcił opracowaniu planu operacyjnego „Wschód”, który został ostatecznie wykonany zimą 1938/1939 roku. Wynikało to z oceny, że w przygotowaniach wojennych przeciwnik wschodni jest bardziej zaawansowany od zachodniego i że wskutek

\*) Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie: Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej. Tom I. Kampania wrześniowa 1939. Część I. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn.  
Ob. artykuł pt. „Studium „Kłeska” w poprzednim numerze „Świata”.

tego przygotowaniom wojennym na wschód trzeba dać pierwszeństwo przed zachodnimi. Równoczesne opracowywanie dwóch planów uważano za technicznie niemożliwe”.

W chwili więc, gdy Hitler okrażał Polskę z trzech stron i gdy otwarcie występował wobec nas z pretensjami terytorialnymi, polski sztab główny wciąż jeszcze zajmował się planem operacyjnym „Wschód”. I nie przerwał tych prac, choć jego ograniczone „możliwości techniczne” nie pozwalały na opracowanie dwóch planów na raz. Więc plan operacyjny „Zachód” nadal pozostawiono odłożeniem!

Prawda, coś tam zaczęto dłużyć już latem 1938 roku. Czytamy we wspomnianej książce:

„Szef sztabu głównego dał w lecie 1938 referatowi „Zachód” O. III S. G. jako wstępną pracę do planu zachodniego polecenie przestudiowania na nowo i opracowania aktualnej oceny niemieckich sił zbrojnych oraz możliwości ich koncentracji”.

## KTO ODSŁONIŁ GRANICE?

Ale te bardzo wstępne prace na szczeblu referatu nie trwały długo:

„Konferencja monachijska, zajęcie Sudetów przez Niemcy i polska akcja o odzyskanie Zaolzia spowodowały pewną przerwę w pracach sztabu głównego nad planem zachodnim”.

Dlaczego? Wyjaśniają niewinnie londyńscy generałowie:

„Zajęcie Sudetów wytworzyło nową sytuację, radykalnie zmieniającą operacyjne możliwości Niemiec w stosunku do Polski. Stąsk poszerzony o obszar Sudetów stawał się teraz dogodną podstawą do ataku na Polskę, umożliwiającą koncentrację dużych sił”.

Nieboraki, nie wiedzą po dziś dzień, kto spletał im takiego figla, że nastąpiła „radykalna zmiana operacyjnych możliwości Niemiec w stosunku do Polski”. Ha, cóż. Pomożemy im rozwikłać tę zagadkę. Nazajutrz po zajęciu Sudetów pan ambasador Lipski oświadczył ministrowi spraw zagranicznych Rzeszy, Herr Ribbentropowi:

„Polityka polska ułatwiła Niemcom zajęcie kraju sudeckiego i w dużej mierze przyczyniła się do rozstrzygnięcia tego problemu w duchu żądań niemieckich”.

„Polityka polska” w owym czasie — w dziedzinie



HITLER W CZECHOSŁOWACJI

„Polityka polska ułatwiła Niemcom zajęcie kraju sudeckiego i w dużej mierze przyczyniła się do rozstrzygnięcia tego problemu w duchu żądań niemieckich” — oświadczył Ribbentropowi ambasador Lipski.

spraw zagranicznych — to byli: pułkownik Beck i marszałek Smigły-Rydz. Oto adres, pod którym londyńscy generałowie powinni składać zażalenia na powodu gwałtownego pogorszenia się strategicznej sytuacji Polski. Ale generałowie ci wolą udawać Greka po dziś dzień. Piszą oto:

„Wszystkie przygotowania wojenne Polski — zarówno dawniejsze jak i świeżo podjęte (rozbudowa przemysłu, nowy plan mob.) — opierały się zawsze na podstawowym założeniu, że granica karpacka jest bezpieczna. Aneksja Austrii stwarzała dla Niemiec możliwość szybkiego militarnego unicestwienia Czechosłowacji, a tym samym zagrożenia — i to wtedy już zagrożenia bezpośredniego — polskiej granicy karpackiej”.

Szkoda, że tego wszystkiego panowie generałowie nie zakomunikowali w swoim czasie panu marszałkowi Smigłemu-Rydzowi i panu pułkownikowi Beckowi. Ich to właśnie polityka doprowadziła do odsłonięcia granicy karpackiej. O roli i udziale Polski w rozbiórce Czechosłowacji — wiadomo powszechnie. Nieco mniej znana jest sprawa współudziału Becka w Anschlussie Austrii. Przypomnijmy zatem.

Gdy nazajutrz po Anschlussie ambasador brytyjski Kennard zasięga w MSZ-ecie informacji, jakie jest stanowisko Polski w tej sprawie, wiceminister Szembek komunikuje mu:

„Naszym zdaniem, Anschluss jest wewnętrzną sprawą austriacką”.

A marsz. Smigły-Rydz i premier Składkowski oceniają rzecz tak:

„Polska nie ma żadnego interesu, by występować przeciwko Anschlussowi, który właśnie się odbywa”.

Ale udział Polski w Anschlussie nie ogranicza się do samych tylko oświadczeń. Beck czynnie przykłada ręki i do tego samego dzieła. Zaledwie bowiem Hitler wkrocza do Wiednia, Beck podejmuje natychmiast akcję dywersyjną, by odwrócić uwagę od hitlerowskiego posunięcia. Wystosowuje mianowicie ultimatum do Litwy („Wodzu, prowadź nas na Kowno!”). Nawet gorący wielbiciel polityki Becka, Cat-Mackiewicz, nie ma najmniejszej wątpliwości, jaki sens miało to ultimatum:

„Ultimatum do Litwy wyphywało bezpośrednio z proanschlussowego stanowiska Becka, ze współdziałania Becka w dokonaniu Anschlussu...”

Oto kto odsłonił karpacką granicę i przekreślił nawet sanacyjny założenie obronne.

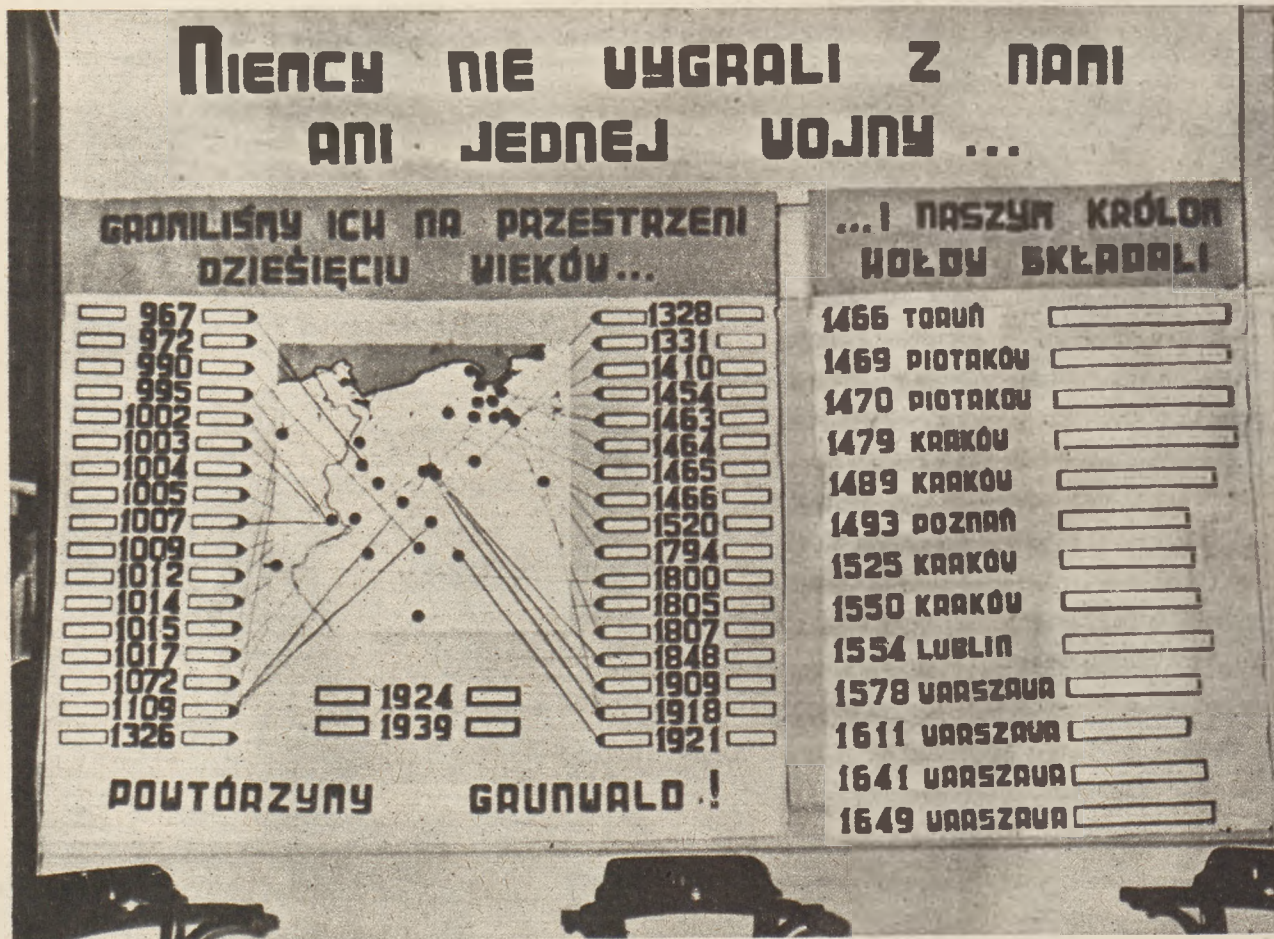
Nie jest wszakże naszym zadaniem szczegółowa analiza polityki zagranicznej Polski przedwrześniowej. Uczyniliśmy to tylko w tym zakresie, w jakim to było niezbędne do rozszyfrowania niedomowień londyńskich historyków.

## SMIGŁY MA CZAS

Kłopoty sanacyjnych sztabowców z planem operacyjnym „Zachód” bynajmniej nie skończyły się w okresie kryzysu sudeckiego, który przerwał „wstępne studia” na szczeblu referenta O. III. Zaraz zresztą przekonamy się, że zawinił tu nie tyle kierownik referatu „Zachód”, ile ktoś znacznie odeń wyżej postawiony. Zahamowanie prac nastąpiło bowiem na szczeblu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Między cztery drogocenne miesiące od października 1938 do lutego 1939, zanim pan marszałek Smigły-Rydz zechciał wreszcie objąć swe poglądy na sprawę wojny z Niemcami. Piszą londyńscy generałowie:

„W końcu lutego 1939 roku generalny inspektor sił zbrojnych dał wytyczne do planu operacyjnego „Zachód” szefowi sztabu głównego i polecił przystąpienie do szczegółowego opracowania planu”.

W końcu lutego 1939! Do września pozostawało wszystkiego pół roku. Trzy z górą lata poświęcił sztab polski opracowywaniu planu „Wschód”. Zajmował się tym zresztą przez wszystkie lata poprzednie. I oto teraz, gdy najazd hitlerowski wisiał dosłownie na włosku, zabrano się do improwizowania planu operacyjnego „Zachód”. Dosłownie na kolanach. Jak ponura groteska brzmią relacje sanacyjnych generałów o tym, jak się ten plan przygotowywał. Oto wypowiedź szefa sztabu głównego, gen. Stachewicza: „W trakcie opracowywania przez sztab wytycznych generalnego inspektora sił zbrojnych z lutego nastąpiło zajęcie Czechosłowacji (15 III), postawienie przez Niemców znanych żądań Polsce (21 III), oraz



## SLOGANY ZAMIAST PLANÓW

„Dowódcy armii planu operacyjnego nie znali” — pisze generał Kutrzeba.

operacja niemiecka na Bałtyku połączona z zajęciem Kłajpedy (23 III), a grożąca równoczesnym zamachem na Gdańsk. Wypadki te z jednej strony zmieniały w znacznym stopniu założenia, na których opart generalny inspektor swe wytyczne z lutego...“

Słowem, wszystko się rwało i co chwila trzeba było zaczynać od początku. A był już koniec marca. Swoją drogą, rozbijający jest ten szef sztabu głównego, który wyznaje, że dowództwo naczelne gubiło się w sytuacji jak pijany we mgle. Zwykły czytelnik gazet wiedział chyba więcej o zamierzeniach Hitlera niż owi „fachowcy“ z GISZ-u, SG, MSWojsk., każdego ranka rewidujący zdezaktualizowane przez noc założenia swych strategicznych planów... A przecież pan marszałek Śmigły-Rydz znał zdania Hitlera wobec Polski nie od 21 marca 1939, jak nam to próbuje wmówić jego szef sztabu, lecz od października 1938, jak to wynika z raportów ambasadora Lipskiego.

Wywody generała Stachewicza uzupełniają autorzy z londyńskiej komisji historycznej:

„Komplikowała sytuację konieczność liczenia się z tym, że wojna może wybuchnąć każdej chwili, zanim jeszcze prace nad planem będą zakończone. Następnym tegoż planu rzeczy“ była naturalna dążność do tego, aby pracować niejako pod kątem widzenia podwójnych terminów, tj. aby w każdym dziale mieć na najbliższy czas choćby tylko jakiś najogólniejszy zarys planu tymczasowego, a niezależnie od tego pracować systematycznie nad planem zasadniczym“.

#### PLAN, KTÓREGO NIE BYŁO

Teraz losy planu operacyjnego „Zachód“ przybierają obrót tak osobliwy, że są niewątpliwie unikatem w historii nowoczesnych wojen. Londyńscy generałowie stwierdzają bez ogródek:

„Dalsza praca nad planem odbywała się w sposób niezwykły — równocześnie na szczeblach kierowniczych i wykonawczych“.

Czyli coś w rodzaju rozwiązywania rebusów. Zanim podwładni znali zasadnicze założenia planu — już musieli wypracowywać szczegóły!

Prawdę jednak mówiąc, niewiele by zyskali na czekaniu. Albowiem plan operacyjny przeciwko Niemcom nigdy nie został ukończony!

Wprawdzie bowiem londyńscy generałowie piszą, że: „przed uderzeniem Hitlera plan ukończono“,

dodają jednak natychmiast:

„tylko pierwsza faza działań była tam opracowana w szczegółach“

i kończą kapitalnym stwierdzeniem:

„jako całość plan nigdy nie został utrwalony na piśmie“ (podkr. nasze).

Jeśli nie na piśmie, to gdzie? Konkluzja jest oczywista: planu operacyjnego przeciwko Niemcom po prostu nie było. Co najwyżej jakieś mniej lub więcej ogólnikowe zarysy takiego planu, i to na wstępna tylko fazę działań wojennych, snuły się po głowach Śmigłego-Rydz i paru jego najbliższych współpracowników. Wynika to jasno z dalszych wywodów londyńskich historyków:

„Dokumenty wręczone inspektorom armii nie zawierały myśli przewodniej zamierzonych operacji, ograniczały się jedynie do podania samego zadania danej armii (wraz ze wskazówkami wykonawczymi) oraz zadań sąsiadów w streszczonej formie“.

I dalej:

„Plan operacyjny zawierał — tak pod względem sztabowym jak i terenowym — opracowanie tylko pierwszej fazy działań, t. zn. bitwy na wybranej pozycji. Trudność przewidywania, w jakich warunkach nastąpi przejście do drugiej fazy działań, czyli przerwanie bitwy i odskok w tył, oraz niechęć rozpraszania wysiłków spowodowały, że generalny inspektor zdecydował nie czynić żadnych przygotowań do drugiej fazy“ (podkr. nasze).

Po prostu zdecydował nic nie robić!

Czytajmy dalej:

„Generalny inspektor nie ujawnił żadnej decyzji co do szczegółów dotyczących wykonania drugiej fazy, a w szczególności nie wyznaczył kierunków i sposobu odchodzenia armii, ani też nie określił żadnej linii, na której miałyby być ponownie stawiony opór nieprzyjacielowi“.

Generał Kutrzeba, dowódca armii „Poznań“, tak charakteryzuje sytuację, która wskutek tego wytworzyła się w chwili, gdy działania wojenne były już w toku:

„Dowódcy armii planu operacyjnego nie znali. Zнали oni tylko przypadające im zadania na pierwsze dni wojny. Ta metoda zachowania tajemnicy była odziedziczona po marszałku Piłsudskim, który ją stosował w nieregularnych warunkach personalnych, bojąc się dekonspiracji swych politycznych i wojskowych zamiarów. Stosowanie jej w chwili wybuchu wojny w 1939 dało wyniki ujemne...“



GEN. KASPRZYCKI W PARYŻU

Francuzi daremnie domagali się polskiego planu operacyjnego przeciw Niemcom...

Ogłędnie powiedziane! Ale dostatecznie wyraźnie, by odsłonić fakt wręcz potworny: w dniu 1 września armia polska wyruszyła w pole nie tylko bezbronna (o tym osobno), nie tylko osamotniona, ale i pozbawiona planu operacyjnego. Jedyne założenie operacyjne Śmigłego, które da się z tego wszystkiego wydedukować, brzmiało: „Jakoś to będzie“.

Przy sposobności wyjaśnią się jeszcze jedna tajemnica. Oto w maju 1939 udaje się do Paryża gen. Kasprzycki, by omówić ze sztabem francuskim współpracę na wypadek wojny z Niemcami. Sztab francuski domagał się wielokrotnie udostępnienia mu polskiego planu operacyjnego przeciwko Niemcom. Daremnie. Kasprzycki wykręca się jak może. Dlaczego? Po prostu dlatego, że planu takiego sztab polski w ogóle nie posiadał. Ani w maju, ani w ogóle nigdy!

Katastrofa była więc nieunikniona. Zanim jeszcze padł pierwszy strzał.

## SPRZYMIERZENIE

## ZNAD SEKWANY

PAWEŁ JASIEŃKA

**G**IEKAWA książka wpadła mi ostatnio do rąk. Autorem jej jest zupełnie mi nie znany pisarz francuski Robert Merle. Tytuł brzmi: „La Mort est mon Metier“ — „Śmierć jest moim rzemiosłem“.

Powieść tę wydała w roku 1952 firma Gallimard. Egzemplarz, który miałem w ręku, pochodzi z drugiego nakładu.

Nie zdążyłem przestudiować książki dokładnie. Wypożyczono mi ją na niepełne dwa dni, ściśle oznaczając termin zwrotu. Czytałem więc dość pobieżnie — akurat wypadły mi inne jeszcze zajęcia. Główną uwagę zwracałem na rzecz, która w języku urzędowym nosi nazwę sprawozdania stanu faktycznego. Porównywałem treść francuskiej powieści z pewnym polskim wydawnictwem. Utwór Roberta Merle jest bowiem literacką przeróbką pamiętnika Rudolfa Hoessa, komendanta obozu w Oświęcimiu. Pisarz przedstawia go czytelnikom jako Rudolfa Langa.

Hoess opracował swe wspomnienia siedząc w polskim więzieniu (stracono go 16 kwietnia 1947 r.). Nasze Ministerstwo Sprawiedliwości ogłosiło je w roku 1951, jako VII tom „Biuletynu Główniej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce“. Z „metryki“ książki dowiadujemy się, że podpisano ją do druku dnia 8 grudnia owego roku.

Nie wiem, czy przełożono ją na języki obce (jeśli nie, to wielka szkoda). Nie wiem również czy Robert Merle nie korzystał z innych jeszcze źródeł. Hoess zeznawał przed Trybunałem w Norymberdze i wypowiedzi jego publikowano drukiem w Paryżu, w 1947 roku. O ile wiem, to, co ogłoszono, nie było zbyt obszerne.

Wszystko zdaje się wskazywać, że Robert Merle korzystał z polskiego wydawnictwa, ze wspomnianego już VII tomu „Biuletynu“ (jeśli pisarz posiada odpowiednie warunki pracy to nieznajomość języka nie stanowi przeszkody; autor obszernego amerykańskiego studium o powstaniu w getcie warszawskim przez długi czas korzystał z pomocy dwóch tłumaczy, Polaka i Żyda). Jeżeli tak, to należy podziwiać tempo pracy francuskiego literata oraz jego wydawcy. Powtarzam: pamiętnik ukazał się w ostatnich dniach 1951 roku (albo na początku następnego), oparta na nim powieść w języku francuskim — w 1952 roku.

U nas — autobiografię szefa Oświęcimia omówiło najpierw „Życie Literackie“ (jeszcze bodaj w 1952 roku), potem — w styczniu 1953 — pisała o nim „Nowa Kultura“. Ostatnio, w tym roku, Adolf Rudnicki w „Świecie“. Wszystko to były artykuły publicystyczne. Niedawno temu Wydawnictwo w Językach Obcych „Polonia“ wypuściło w świat zredagowany przez Adolfa Rudnickiego tom „Włeczna pamięć“. Wydano go w językach angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Zawiera krótkie prace polskich autorów.

Trzeba przyznać, że Robert Merle dał nam wcale niezłą tak zwaną „szkołę“.

Utworu jego nie podobna oczywiście zestawiać z dziełami Lwa Tołstoja, Conrada czy Dickensa. Reprezentuje on jednak zupełnie dobry poziom. Niektóre partie, jak na przykład, wyrażenie i z umiarem narysowany portret Himmlera, lub precyzyjnie zrobione i w pełni „wytrzymałe“ za-

konczenie, przykuwają uwagę. A może by tak przetłumaczyć tę książkę na język polski? W literaturze światowej niewiele dzieł operuje tworzywem w ten czy inny sposób związanym z naszymi sprawami. Autor tej książki prowadził nas do Treblinki, do Chełmna, każe oglądać Oświęcim z punktu widzenia człowieka odpowiedzialnego za sprawne funkcjonowanie całości. Polska opinia publiczna na pewno będzie bardzo wdzięczna, jeśli się jej umożliwi sprawdzenie, jak te rzeczy wyglądają w oczach Francuza.

I jeszcze jeden argument: przecież to polskie władze wymiaru sprawiedliwości umożliwiły powstanie tej książki. Pozwoliły Hoessowi pisać, co chciał, i ogłosiły jego pamiętnik. Słuszne były przewidywania, że VII tom „Biuletynu Badania Zbrodni Hitlerowskich“ przejdzie do historii.

Bo nie może chyba ulegać wątpliwości, że Robert Merle zna ów „Biuletyn“. Trybunał w Norymberdze nie mógł interesować się tym, kiedy, z kim i jak przyszyły szef Oświęcimia utracił dziewictwo. O tym mówi pamiętnik, a powieść Francuza to powtarza.

Nie zgłaszam pretensji do autora, że nie powołał się na źródło, z którego korzystał. Mógł, a może i powinien był uczynić to wydawca. Przekonałby przecież czytelników, że przekraczająca granice ludzkiej wyobraźni treść książki bardzo ściśle odpowiada prawdzie historycznej.

Robert Merle nie trzyma się niewolniczo litery pamiętnika. Niektóre partie życiorysu swego bohatera dość zdecydowanie przerabia. Inne obficie uzupełnia fikcją literacką. Najlepiej pod tym względem udała mu się relacja o pracy Langa-Hoessa na roli. Właściciel majątku, pułkownik baron von Jeseritz (postać fikcyjna), każe swemu podwładnemu ożenić się z dziewczyną, którą dlań wybrał. Junkrowi chodzi tylko o to, by na wydatym bagnu skrawku ziemi „niemieckiej“ (chodzi o Pomorze) osiadła rodzina niemiecka i piodziła dzieci. Podwładny zaś słucha rozkazu, żeni się z osobą, której nigdy przedtem na oczy nie widział, dochowuje jej wierności i jest z nią szczęśliwy. Tajemnica polega na tym, że dekalogiem i katechizmem jest dlań rozkaz przełożonego. „Meine Ehre heisst Treue“. Najpierw ślepo słucha się ojca, potem oficera na froncie i wreszcie Himmlera. Wykonanie zadania, polegającego na uśmiercaniu kilku tysięcy osób dziennie jest dla Langa-Hoessa problemem natury moralnej. Himmler wybrał go do tej funkcji ze względu na jego wyjątkowe kwalifikacje moralne („rares qualites de conscience“).

Dużo warta jest scena, w czasie której Lang dowiaduje się od podkomendnego, iż przedstawił właśnie Himmlerowi plan likwidowania Żydów w Oświęcimiu jest po prostu nierealny. — Nie sztuka zagazować, sztuka pochować zwłoki — melduje Obersturmfuehrer, który zbadał rzecz od strony praktyki. Lang popada w bolesną rozterkę duchową: nie wykonał rozkazu, zawiódł zaufanie przełożonego, źle obmyślił. Lecz okazuje się, że duch opiekunów, w postaci głównego dowódcy SS, czuwa. W mądrości swej zatwierdza cały plan z wyjątkiem punktu V, mówiącego o grzebaniu zwłok w ziemi. Każę Langowi jechać do Chełmna, gdzie można zobaczyć najbardziej nowoczesne metody pozbywania się trupów.

Lang-Hoess jedzie do Chełmna autem. Towarzyszy mu w tej wędrowce po ziemi polskiej. Staje nad dolami, w których pałą się ciała ludzkie, ogląda wszystkie szczegóły, pilnie studiując. I my studiujemy razem z nim.

My? Nie! — książki dotychczas nie przełożono na język polski. Czytają ją za to tysiące Francuzów oraz członków innych narodowości, bo przecież mowa Woltera jest szeroko znana na świecie.

Książka kończy się opisem aresztowania Langa przez Anglików, przesłuchiwanie go w Norymberdze oraz procesu w Warszawie (pewien oficer brytyjski pozwolił Hoessowi przekonać się dokładnie, jak smakuje jego własny pejcz; Merle zwałnia swego Langa od tej próby). Ostatnie karty powieści stanowią zaszczepiny popisu autorskiej wnikliwości oraz precyzji myślenia. Lang nie może po prostu znaleźć wspólnego języka z amerykańskim pułkownikiem oraz z polskimi prawnikami. Nie rozumieją się nawzajem.

Polacy sprowadzili na proces mnóstwo świadków z całej Europy. „Ich obecność — powiada Lang (który stale przemawia w pierwszej osobie, gdyż książka nosi formę pamiętnika) — była całkiem bezużyteczna, ponieważ nie zaprzeczałem faktom. Moim zdaniem było to marnowanie

czasu i pieniędzy i patrzeć na to nie mogłem uwierzyć, że Słowianie wydadzą kiedykolwiek rasę wodzów“.

Zapada wyrok taki właśnie, jakiego Lang się spodziewał. Strażnik lekko dotyka ramienia skazanego. Odprowadzają go do celi. Lang zaczyna spacerować po niej i raptem spostrzega, że liczy własne kroki. Na tym się książka kończy.

Powieść „La Mort est mon Metier“ posiada niewątpliwie walory artystyczne. Osiągnięciem autora jest jej ton — spokojna relacja człowieka osobliwie uczciwego, który największą zbrodnię w dziejach świata „złatwia“ też „uczciwie“ i bardzo, o! — bardzo rzetelnie.

Powieść ta jest naszym potężnym sprzymierzeńcem w walce, którą toczymy przeciwko możliwości powrotu „epoki pleców“. Niedawno temu gazety donosiły o wywodach pewnego zachodniego reportera, który głosi, że w obozach niemieckich nie zamordowano ani jednego Żyda.

„Włeczna pamięć“ — woła znakomity pisarz polski. Robert Merle, pisarz francuski, obleka ten program w ciało. Nie pozwala zapomnieć.

Muszę wyznać, że piszę ten artykuł nie bez uczucia żalu i goryczy. Świat mógłby oczekiwać, że to my, Polacy, najgłośniej i najwymowniej oskarżymy „epokę pleców“. Najwięcej ich stało przecież na naszej ziemi.

Literatura polska dała w tej mierze rzeczy wstrząsające i świetne. Tadeusz Borowski swój „Dzień na Hermenach“ i „Transport Sosnowiec — Będzin“ ogłosił już w roku 1946.

Tylko potem wynaleziono określenie „zarażenie śmiercią“ oraz inne, tak skomplikowane i kunsztowne, że ich nawet zapamiętać nie potrafiłem. Zgłaszano pretensje pod adresem Adolfa Rudnickiego, że nie chce zapomnieć. Stało się, że głos oskarżycieli przychlił, podczas gdy ilość dzieł rehabilitujących zbrodniarzy rosła w Niemczech Zachodnich i gdzie indziej także. Kto wie, czy zebrane razem nie utworzyłyby dziś one pokaźnej biblioteki.

Literatura oskarżycielska jest potrzebna i głęboko mylił się ten, kto chciał uznać temat za „odfajkowany“.

I jeszcze jeden pożyteczny wniosek: nie należy mieć pretensji i przeciwdziałać, jeżeli zainteresowania pisarza z uporem kierują się w jakąś określoną stronę. Psychika artysty jest przecież niezmiernie czułym receptorem.

Wielki Iwan Pawłow powiada, że odruch „co to jest?“, wewnętrzny przymus wyjaśniania niepokojących zjawisk stanowi jeden z najpotężniejszych środków w walce zwierrzenia o byt. Jeśli tezę tę przenieść na stosunki społeczne, to słowa „walka o byt“ wolno chyba będzie zamienić innymi: walka o postępek.

Rudolf Lang z powieści Merle to Rudolf Hoess, komendant Oświęcimia. Widzimy go na zdjęciu (x) w rozmowie z Himmlerem wizytującym obóz śmierci.





## PANA ADAMA DZIEŃ POWSZEDNI

# Dwaj poeci

**O** GROMNIE rozpieszczony był pan Juliusz Słowacki. Interesował się zaś sobą tak dalece, że trudno mu już było interesować się kim innym. Mickiewicz nudził go rozmową, ale dodajmy, nudziły go i francuskie panienki.

Cóż więc dziwnego, że oczom autora „Kordiana” autor „Pana Tadeusza” nie prezentował się ani w blasku urody, ani we wdzięku elegancji. Oto, mawiał pan Juliusz, zostawisz poetę chcę ujść powszechnej nagany, która nasz ród poetów wystawia jako opuszczony i nie dbały. Nie chcę, aby mnie tak, jak Mickiewicza, do domu gry nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę.

Nie badajmy autentyczności tej anegdoty; zwróćmy tylko uwagę, że w owym czasie, a jest rok 1832, Słowacki, który ją opowiada, jest więcej paryski niż paryżanie i nawet wśród dandyśmów uchodzi za największego dandy. O sobie powie przecież bez żenującej skromności: „Dziś właśnie udała mi się moja rola w ogrodzie Tuilleries: pierwszy raz ubiorłem zwróciłem oczy dam, bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową, w ogromne różnokolorowe kwiaty, tak jak dawne suknie damskie, i kołnierz od koszuli odłożony, do tego dodając laseczkę z pożądaną główką i glansowane rękawiczki, a będziecie mieli Julka”.

O właśnie, rękawiczki glansowane. Teraz już nas nie zdziwi, gdy Julek, zbliżywszy się do Mickiewicza na wizycie u księcia Adama, został potraktowany w sposób nieupełniający dla swej ambicji bezpieczny. A jeżeli w zachowaniu pana Adama tkwi dla nas jakiś sekret — o wyjaśnienie tajemnicy poprośmy Juliusza Falkowskiego, który oddaje nam tę przysługę w swych „Wspomnieniach”, gdzie tak charakteryzuje litewskiego barda: „W życiu codziennym był to Litwin z Nowogródka; zakuty Litwin ze wszystkimi upodobaniami i nawykami z czasów swojej młodości. Form wyższego towarzystwa i wszystkiego, co tchnęło wykwintnością światową nienawidził aż do rękawiczek włączając. Raz, gdy wszedł do niego, przy powitaniu spojrzął na moje ręce, które były w rękawiczkach: „Panie, rzekł mi, rękawiczkami-śmy Polskę zgubili — tak, rękawiczkami, bo tym odróżniliśmy się jako pieszni próżniacy od ludu, który nie wstydzi się pokazywać swoich rąk zapracowanych. Trzeba przejąć się zupełnie ludem, a wtenczas dopiero Polskę zbawimy”.

Słowacki nie przestał nosić glansowanych rękawiczek, ale nie przestał także nosić urazy w sercu. Ba, autor „Fantazego” dobrze wiedział, że osiadł w końcu w gronie nieśmiertelnych, a dzięki temu zwycięstwu — po stu, po tysiącach latach będziemy z uwagą i szacunkiem odczytywać każde jego słowo, i to skrzydlate, i to kaśliwe. Nie odmawia tedy sobie satysfakcji zemsty, zapisując dla matki, a po trosze i dla potomności, taką oto relację z owego wieczoru, gdy w rękawiczkach próbował witać się z panem Adamem: „Na wieczorze był Mickiewicz; nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichowsku wyglądał z pomietym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym...”

Po liderlichowsku, a więc gminnie, niedbale, no, wprost po hultajsku. Gdyby Mickiewicz był małostkowy, a wiemy, że takim nie był, — on, zawsze wspaniałomyślny i puszczający wszelkie urazy w niepamięć — mógłby pozwać Słowackiego przed nasz sąd, sąd potomnych, skarżąc o obrazę.

Wyobraźmy sobie, że tak się właśnie stało.

Nie ma żadnych dobrych racji po temu, aby przypuszczać, że oskarżony poeta mógłby przepraszać litewskiego barda. Nie tylko nie można mu bowiem odmówić cywilnej odwagi, tej miał pod dostatkiem, ale i to trzeba zważyć, że w sprawie zaszły nowe okoliczności, które pogodziły się obu wielkich poetów wręcz uniemożliwiają. Tymi nowymi okolicznościami są: wcześniejsza lokata Mickiewicza na wawelskim Olimpie i pomniki — w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Paryżu — królującego Adama. Szczególniej w Warszawie. Mickiewicz nie lubił tego miasta, a to miasto czci go przy każdej okazji; Słowacki kochał je, lecz dorobić się tu własnego, porządnego pomnika nie może.

Cóż więc? Wezwany przed nasz osąd powtórzyłby pewnie, jeśli idzie o powierzchowność zwalczanego boga, obraźliwą opinię, jaką wygłosił w liście do matki jesienią tego pamiętnego roku, w którym powstała największa epopeja naszej ery: „Ten Adam, to czysty szczerp suchy, ma minę lokaja najczęściej, czasem szalonego, od Bonifratrów, i nie lubi nosić guzików rzędami usadzonych na sukni, ale je obrywa, gdy są do pary”.

Strony się nie pogodziły, musimy zbadać świadków. Otwarcie przewodu sądowego, choć niemiłe, nie obejdzie się bez korzyści dla nas; możemy się bowiem dowiedzieć nareszcie, jak się naprawdę ubierał Mickiewicz.

Miejsce dla świadków zajmuje wspomniany już Falkowski. Zeznaje krótko: „Wszedłem (raz) do jego skromnego mieszkania. Zajmował dół małego domku. Wchodziło się do niego przez małą sionkę ciemną, oświetloną tylko z kuchni będącej na wprost drzwi. W niej pani Mickiewiczowa gospodarowała; wyszła



ona wnet do mnie i z wielką uprzejmością zaprowadziła do pokoju męża. Gdy otworzyła drzwi, ujrzałem przez obłok tytuniowego dymu wielkiego Wieszcza siedzącego w szlafroku, z długim cybuchem w rękę, przy stoliku zarzuconym papierami i książkami.”

Nie wiem, czy Sąd Czytających zadowolony jest z tego zeznania. Cóż, każdemu wolno siedzieć u siebie w domu w szlafroku, tak jak chce. Na inne zaś nasze pytania Falkowski już nie odpowie: posiadał także nieśmiertelność przez zetknięcie z Adamem.

Przyczynkarz literacki, który pełni w naszym opowiadaniu obowiązki woźnego sądowego, wprowadza następnego świadka. Jest nim czcigodny, starszy pan, bardzo sympatyczny i przystojny. Badamy personalia. Starszy pan odpowiada na pytania: — Stanisław Morawski. Z zawodu doktor medycyny. — Czy zna strony? — Tak, jest bliskim przyjaciółcą Mickiewicza. Leczył go nawet w Petersburgu, później w Paryżu wyswatał za Adama Celinę Szymanowską. Urodził się dnia, miesiąca, roku... zmarł dnia, miesiąca, roku... Mniej ważne. Zostawił po sobie sporo relacji rękopiśmiennych: „Kilka lat młodości mojej w Wilnie”, „W Peterburku”... Będzie mówił prawdę, i tylko prawdę.

Z wielkim oburzeniem i mocą odpiera insynuację, jakoby ktokolwiek i gdziekolwiek mógł wziąć Adama za lokaja. To nieprawda. Mickiewicz budził osobą swoją wielki szacunek. W salonach nad Nową przyjmowano go jak udzielonego księcia.

Sąd Czytających prosi świadka o skonkretyzowanie opinii. Morawski odpowiada:

— „Mickiewicz... nie muskał się, ale w jego abnegacji widzieć zawsze było można jakąś godność, szlachetność i wyższość”.

Protokółant sprawdza ścisłość tego zeznania. Istotnie, jest ono zanotowane w książce „W Peterburku”, Poznań, strona jedenasta.

Następny świadek: Ewaryst Estkowski, pedagog, autor książek uczonych. Proszony jest, jak i inni, o ogra-

niczenie swej opinii jedynie co do ubioru Mickiewicza. Potwierdza on swe zeznanie, wyrażone w liście pisanym z Wielunia w dniu 8 grudnia 1855 roku:

Nikt nie zrobił na nim większego wrażenia, jak Mickiewicz. Nawet Leleweł, którego odwiedzał w Brukseli. Nie podobna, aby pan Adam wyglądał po liderlichowsku.

— „To uczucie szacunku i uwielbienia — stwierdza — powstało we mnie nie na pierwszy rzut oka, bo owszem, ubrany był skromnie i odznaczał się obyczajami bardzo prostymi; zdawał mi się z początku zwyczajnym człowiekiem. Ale zadziwił mnie, gdy mówić zaczął... Od razu uczuwa się dla niego cześć i wielką pokorę”.

Cześć i pokora to uczucia indywidualne. Sąd prosi świadka o szczegółowy opis ubioru Mickiewicza.

Na to świadek nie zwracał uwagi. Jedynie, mówi, „zobaczywszy Mickiewicza, domyśliłem się z jego powierzchowności, że jest przyjacielem skromności, uczulem się w duszy spowodowany do postanowienia, aby nigdy wagi do zewnętrznych rzeczy nie przywiązywać. Przekonałem się potem z tego, co mówił p. Adam, że nie cierpi strojnisiów, dandy, że ich karci nielitościwie, bo z nich kraj nie może mieć żadnego pożytku; zwyczajnie, w głowie pusto, a prócz tego nie ma przynajmniej tych sił fizycznych, jakie ma chłop polski, robotnik francuski”.

To zeznanie sprawdzone zostało przez prof. St. Pigonia w tomie „Rozmów”, wyd. sejmowego.

Następnym świadkiem jest Edward Chłopicki z Wileńszczyzny, publicysta i literat, poeta i tłumacz. Potwierdza to, co wyraził w piśmie „Kłosy” w roku 1876: — „Pan Adam ubrany (był) w zapięty do samej góry surdut”.

Obrywania guzików nie zauważył. Fizjonomię poety charakteryzuje jako „pogodną i szlachetną”, nacechowaną powagą.

Świadek Zygmunt Feliński, arcybiskup warszawski, poznał Mickiewicza w Paryżu w roku 1848; widział go „ubranego czarno, w zapiętym pod samą szyję surducie”. Nie spostrzegł w ubiorze niechlujstwa czy zaniedbania. Relację taką złożył w pierwszym tomie swych „Pamiętników” na str. 342 wydania lwowskiego.

Franciszek Kowalski, literat, tłumacz Moliera, przypomina czasy odeskie, które scharakteryzował już był w „Pamiętniku”, drukowanym w „Bibliotece Warszawskiej” w roku 1857. W owych czasach pan Adam „był ubrany modnie i wykwintnie, w czarnym fraku, miał czarną chustkę i kamizelkę”.

Duże wrażenie wyrzucił musi na Sądzie czytającej Publiczności zeznanie Klementyny z Tańskich Hoffmannowej, gdyż po pierwsze: zewnętrzny wygląd Mickiewicza zainteresował ją bardzo jako kobietę, a po wtóre: świadectwo jej pochodzi z roku 1832, a więc tego właśnie roku, kiedy Słowacki zarzucił Mickiewiczowi ów liderlichowski wygląd, pomietym od koszuli kołnierz i frak zasmolony. Pani Hoffmannowa powtarza zapis ze swego „Pamiętnika” (23 marca), skontrolowanego przez Piotra Chmielowskiego w jego monografii Adamowej: „Poznałam dziś Mickiewicza; zastał nas przecież; bawił przeszło godzinę; zupełnie odpowiedział mojemu oczekiwaniu. Młody, twarz wyrazu pełna... Ubiór schludny, a zaniedbany; w oczach iskra geniuszu; w całym układzie jakaś pewność, a nie zarozumienie”.

Alojzy Ligenza Niewiarowicz, literat, miniaturzysta, dokładnie zapamiętał ubiór Mickiewicza. W swych „Wspomnieniach o Adamie Mickiewiczu” (Lwów, 1878, str. 194) zeznaje na interesującą nas okoliczność: — „Przed rokiem 1841 stroił się zwyczajnie. Nieraz widziałem go we fraku, z cylindrem na głowie; całe życie swoje wprawdzie nie przykrywał inaczej swojej głowy. Po 1841 roku... krój odzienia Mickiewicza uległ zmianie. Z frakiem nastąpił zupełny rozrząd i nosił od-tąd surdut kapotowy staroświecki z kołnierzem stojącym, zawsze zapiętym na wszystkie guziki...”

Dalsi świadkowie — Eug. Rogawska, Falkenhagen-Zaleska, Z. Komierowska, Mikołaj Malinowski i, jak się to pisze, inni — nie wnoszą do sprawy nic nowego, lecz potwierdzają przytoczone już opinie: surdut długi, czarny, zapięty na wszystkie guziki (tylko Zaleska upiera się: „Surdut niedbale ale malowniczo na jeden guzik spięty”, no, może akurat wtedy na jeden...), zbytniego zaniedbania nikt w ubiorze nie widział. Wrażenie Ewy z „Dziadów”, panny Henriety Ankiewiczówny, która widywała poetę w długim surducie popielatym, przytaczać nie będziemy. P. Henrieta zbyt się Mickiewiczem interesowała, aby bezstronnie świadczyć.

Można by jeszcze, aby wyczerpać sprawę do końca, powołać przed ten nasz trybunał malarzy, którzy portretowali Mickiewicza. Przyjrzyjmy się uważnie olej-nemu portretowi pędzla Oleszkiewicza lub obrazowi ręki Żukowskiego. Obaj ukazują nam poetę w ładnie skrojonym stroju. A Mickiewicza możemy być pewni; jego sztuka nie kłamie.

Zakończyliśmy nasz przewód, do którego dokumenty i akta zbieraliśmy dość długo i z niemałym mozolem. Głos ma Publiczność. Nie chcę uprzedzać wyroku, lecz bodaj wolno mi sądzić, że i ten drobny proces z Mickiewiczem Słowacki przegra.

Jak przegrywał za życia.

TEOFIL SYGA



## OJCZYZNA

I

**L**UDZIE bardzo zakochani w Kazimierzu narzekają, że się za mało o nim pisze, że jest nie dość znany; ludzie bardzo zakochani są bardzo niesprawiedliwi. Niewiele posiadamy miejscowości równie rozstawionych przez artystów, którzy gdy kochają, potrafią swą miłość narzucić innym. W książkach mniejszych i większych pod względem kalibru i objętości, w niezliczonych obrazach artyści wyśpiewali chwałę Kazimierza, jego pejzaż rozstawiło kilka generacji malarzy. Ostatnio do chóru dołączyli się nawet naukowcy. W ciągu jednego tylko roku — 1953 — ukazały się trzy monografie poświęcone Kazimierzowi. Autor najobszerniejszej z nich, najbardziej źródłowej — Husarski — nazywa Kazimierz „skarbnicą arcydzieł architektury renesansowej i rodzimej ciesiołki”.

Można wyliczyć po kolei wszystkie uroki Kazimierza — Wisłę „malowniczą, ale złą”, wzgórza, skąd roztaczają się królewskie widoki, jary o fantastycznej roślinności, stworzone na to, by się tam spełniały baśnie, pejzaż, dla którego jedni szukają analogii w miasteczkach południowej Francji, inni w cudownych miasteczkach włoskich, a jeszcze inni widzą w nim najczystsza emanację polskiej ziemi. Można sporządzić szczegółowy spis uroków Kazimierza, ale najdokładniejszy nie wytłumaczy, dlaczego miasteczko zdobywa sobie serca ludzi i dlaczego — co trudniej — potrafi je utrzymać, gdyż jutro powrócą tu nawet ci, co się dzisiaj klną, że więcej nie powrócą.

Myślę, że urok Kazimierza tkwi w czymś bardzo prostym i bardzo niezwykłym zarazem: nie ma w kraju bodaj drugiej takiej miejscowości, która tak łatwo przywraca ludziom dar poezji zachwaszczony w codziennym życiu, pośród codziennych trudów i codziennej bezmyślności. W godzinę po przybyciu człowiek otrzymuje nowe, przemyte oczy, nowe, odwoskowane uszy, młode serce. W godzinę potem każdy zmienia się w poetę, którym jest, w malarza, którym także jest. Kazimierz przywraca ludziom dar poezji, którą dyszy każda pięść tutejszej ziemi. Nagrzane ogrody odorują zapachami intensywniejszymi niż gdziekolwiek, również kolory są tutaj wyrazistsze niż gdziekolwiek. Pieniąca się, oszalała w swej bujności zieleń, biel kamienia, burość chmur, srebro księżycy, poranki i zmierzchy tutejsze nie są podobne do innych. I niebo jest tu wyższe niż gdziekolwiek, horyzont rozleglejszy pod tutejszym niebem, zmysły i dusza żyją mocniej niż gdziekolwiek.

Dar poezji jest jednym z najcudowniejszych w człowieku, trudno więc nie kochać miejsca, które go budzi. I jeszcze jedno: kocha się tu mocniej niż gdziekolwiek, wiele generacji artystów przeżyło w miasteczku nad Wisłą swoje najpiękniejsze chwile. Dziękowały potem w obrazach, w poetyckich strofach, tym właśnie jest twórczość związana z Kazimierzem: podziękowaniem za zachwyty.

Z czasem siła takich miejscowości jak Kazimierz staje się ogromna, pamięć o nich pomaga żyć. W trudnych chwilach wspomina się je jak matkę, wydaje się, iż wystarczy pojechać tam, a troski spłyną. Cudowna tajemnica zwana ojczyzną, żyje w takich miejscach bardziej niż gdziekolwiek.

II

W roku 1950 w Wiśle rozmawiałem ze starym księgarzem z Wilna, który pracował w „Czytelniku”.

— Nie ma już teraz — powiedział mi — talentów w literaturze. Był jeden, jak się nazywał? Żurkowski, tak Żurkowski. Talent, ale już się popsuł. Czytał pan jego drugą książkę? Jak się nazywa? „Ucieczka z Jasnej Polany? Tak, słabsze.”

Pomyślałem o słowach Karola Irzykowskiego: Nigdy z Polski nie zrobimy Aten, przekształćmy ją lepiej w Spartę. Przesuńmy punkt ciężkości z literatury i sztuki na pracę, na wojsko, na sport...



„Pracujesz na lądzie — odpoczywaj na morzu”, oto przyjemne zaproszenie, które latem każdego roku rzuca wczasowiczom Polska Żegluga Przybrzeżna, zwana popularnie „białą flotą”, (statki PZP malowane są na białe). Niestety, czasem odpoczynek na morzu zamienia się w udrękę... O tym czytaj w poniższym reportażu.

# CIEMNE STRONY „BIAŁEJ FLOTY”

MIROSLAW AZEMBSKI

**N**A POCZĄTKU czerwca otrzymałem od dyrekcji Polskiej Żeglugi Przybrzeżnej zaproszenie na inauguracyjny rejs statkiem flagowym „Panna Wodna”. Cała uroczystość miała się odbyć pod hasłem „Pracujesz na lądzie — odpoczywaj na morzu”. Z zaproszenia nie skorzystałem, albowiem mam wyrobione pojęcie o wszelkiego rodzaju uroczystych inauguracjach; wierzyłem na słowo, że „Panna Wodna” będzie dokładnie wypucowana, że pasażerowie wrócą szczęśliwi, upojeni „słońcem, wodą i powietrzem”. Przyznam ze wstydem, iż później zupełnie zapomniałem o działalności naszej „białej floty” i zetknąłem się z nią niespodziewanie dopiero w lipcu, niestety w charakterze zwykłego urlopowicza. To, co mi było dane doświadczyć, nie miało chyba nic wspólnego z uroczystą inauguracją, zapowiadzaną pismem specjalnym dyrekcji („Ich” znak ND-09/55).

Pracuję na lądzie — chciałbym odpoczywać na morzu. 22 lipca o godzinie 11 w przystani gdyńskiej wstąpiłem na pokład statku „Barbara”, aby udać się na Hel jako uczestnik wycieczki. Wiadomo — wycieczki, rzecz dobra: koszty są mniejsze i podróż lepiej zorganizowana.

„Barbara” dzielnie pruła fale, pogoda była wspaniała, megafon ryczał nierzemowicie — słowem, nastrój był radosny, zgodny z tym, co zapowiadają prospekty i plakaty Żeglugi Przybrzeżnej. Nikt z trzystu ludzi na pokładzie nie domyślał się jeszcze, że gdzieś na mostku kapitańskim czuwa „pierwszy po Bogu”, człowiek o władzy na tym statku nieograniczonej, o umyśle... Ale nie uprzedzajmy faktów!

Po półtorej godziny dobiłszy do przystani na Helu. Kierownicy wycieczki oświadczyli, że powrót nastąpi tym samym statkiem o godzinie 16. Wspaniale, znakomicie — nie masz jak zorganizowana podróż! Koszty są mniejsze i powrót zapewniony!

O godzinie 16 stawilem się na molo, zgodnie z instrukcją. Nabrzeże zalegał tłum roześmiany, opalony, ale — według szacunkowej mojej oceny — trochę zbyt liczny. Około 800 osób. Szybki wywiad przeprowadzony w najbliższym kręgu ujawnił, że kasa na Helu przez cały dzień sprzedawała bilety i oprócz wycieczkowiczów, wyposażonych w bilety powrotne, jeszcze około 500 „podróżników indywidualnych” skierowano na statek „Barbara”, który właśnie majestatycznie zbliżał się do mola.

Rzucono trap. Lekki niepokój ogarnął pasażerów: statek, na oko licząc, nie pomieścił tylu ludzi. Czy będzie jakiś drugi? Nie tak łatwo dostać się z Helu do Gdyni, nie mając zapewnionego miejsca na statku. A niedługo zapadnie wieczór. Tłum zafalował i zamrugał w oczekiwaniu.

I oto na mostku kapitańskim pojawił się On, kapitan „Barbary”.

Jeśli was interesuje, w jaki sposób najłatwiej sprowokować wypadek, postarajcie się uzyskać lekcję u kapitana „Barbary”. On umie te rzeczy organizować — ujął właśnie tubę i wykrzyknął ledwie kilka słów:

— Zabieram tylko 300 osób, reszta zostaje!

Reakcja pasażerów była do przewidzenia: kto żył rzucał się do trapu, nikt nie chciał się znaleźć wśród owych pięciuset, których los nie był jeszcze zdecydowany. Matki z dziećmi na ręku, wypotrożeni młodzieńcy, spokojni emeryci — wszystko, co żyło, zapragnęło w jednej chwili dostać się na pokład „Barbary”. Żelazne barierki trapu wygięły się jak kielbasy. Słychać było jęki i błagania na przemian z przekleństwami — piekło rozgorzało na helickim molo. A nad kotłującą się tłumem górował ironicznie uśmiechnięty kapitan „Barbary”, człowiek o władzy nieograniczonej i zaskakujących pomysłach.

Kiedy wreszcie 300 pasażerów doszło do wniosku, że nie sposób jednocześnie przejść przez trap o metrowej mniej więcej szerokości, kiedy co silniejsi usadowili się już na pokładzie i w ogóle nastąpiło jakieś takie uspokojenie — ktoś rzucił parę ostrzejszych słów pod adresem „pierwszego po Bogu”. Kapitan, jak piorunem rażony, pobiegł

na mostek i wrócił potrząsając tryumfująco książką zażaleń. Że niby on bardzo prosi: kto ma pretensje, niech je tu zaraz wpisze. Okazało się, że ludzie mają pretensje, przede wszystkim ci z porannej wycieczki, którym zapewniono powrót. Wtedy kapitan zniknął razem z książką zażaleń i trzeba go było długo szukać, zanim się odnalazł. Książka poszła w ruch; wpisałam i ja tam swoje „trzy grosze” obliczając, że całe wydarzenie postaram się podać do powszechnej wiadomości, którą to obietnicę w dniu dzisiejszym spełniam.

Ale na tym nie koniec. W chwili, gdy pięciuset wzgardzonych pogodziło się ze swoim losem i rozbilo obóz na molo, a trzystu szczęśliwców roztasowało się na pokładach „Barbary”, kapitan wpadł na nowy pomysł. Przyłożył tubę do ust i krzyknął:

— Uczestnicy wycieczki opuścić statek! Każdy, kto ma bilet powrotny, odpłyńcie „Grażyną”, która zaraz przyjdzie z Gdyni!

I zaczęły się ponownie dramatyczne przemarsze ze statku na statek. Biedni użytkownicy „białej floty” zatrucili się zupełnie — kto jakim statkiem ma jechać, kiedy i dlaczego. Przypominało to paniczną ucieczkę w czasach wojennych, kiedy ludzie zderzali się ze sobą dążąc w przeciwnych kierunkach — wszyscy w poszukiwaniu spokojnego schronienia. Na szczęście, ofiar w ludziach nie było. Sprawa ograniczyła się do kilku siniaków i co najwyżej ugrunowała w pasażerach jedną wielką prawdę: nie „biała flota” jest dla wczasowiczów, ale przeciwnie — wczasowicze są jakimś niepotrzebnym dodatkiem do biletów Żeglugi Przybrzeżnej, dodatkiem denerwującym kapitana i załogę, stadem, które można przepędzić w dowolnym kierunku i w dowolnym czasie.

Statek „Barbara” odszedł do Gdyni z dwugodzinnym opóźnieniem. Niedobitki zabrała „Grażyna” i jeszcze jakieś inne, o których przybyciu wiedziało kierownictwo przystani na Helu i wiadomo było zachowało w jak najściślejszej tajemnicy przed pasażerami — z powodów dotychczas nie znanych.

Nie zawsze statki „białej floty” odchodzą z opóźnieniem. Czasem odpływają wcześniej, o czym miałem możność przekonać się dnia 24 lipca, gdy o godzinie 13 usiłowałem odpłynąć do Sopotu osławionym „flagowcem” — „Panną Wodną”. „Flagowy” kapitan kazał, nie wiadomo dlaczego, podnieść trap już o 12,55 i rozbawionym wzrokiem obrzucał kilkunastu pasażerów, którym kasa biletów sprzedała, a którzy mieli nieszczerście stawić się na przystani na przykład o 12.58. Nie pomogły błagania i groźby. Nie przeszkodziło, że statek był na pół pusty — trapu już nie rzucono. Widoznie, by nie podrywać autorytetu Żeglugi Przybrzeżnej...

Gdy w kilka minut później wróciłem na przystań z żądaniem zwrotu za bilet i skarżyłem się miejscowemu kierownikowi, ten mi powiedział:

— Mówi pan, że udało się panu mimo woli zebrać materiał do reportażu? O nie, taki materiał będzie niepełny...

— Czy dlatego, że nie byłem na inauguracyjnym rejsie „Panny Wodnej”? Byłem, a raczej usiłowałem być na tym nieinauguracyjnym.

— Nie, nie dlatego. Powinien pan tu posiedzieć z tydzień, zobaczyć, w jak ciężkich warunkach pracujemy...

— Wierzę. Ale wczasowicz styka się z wami co najwyżej raz albo dwa razy w czasie urlopu. Ja właśnie, jako wczasowicz, miałem dwa takie doświadczenia. Czyżby to był szczególny pech?

Nie odpowiedział. Ja sam starałem się znaleźć na to odpowiedź. Rozpytywałem znajomych o ich wrażenia z wycieczek „białą flotą”. Opowiadano mi historie zblizzone do moich przeżyć — niektóre jeszcze bardziej makabryczne (gdzieś w końcu czerwca „pierwsz po Bogu” zarządził na Helu usunięcie pasażerów z przystani. Ale tych relacji powtarzać nie będę, w pełnym przekonaniu, że to, co sam widziałem, najzupełniej wystarczy.

# Na Nartach

Zadzwonił redakcyjny telefon.

— W niedzielę, na Wiśle robimy pierwszy pokaz jazdy i skoków... na nartach wodnych.

— Co?! Skoków na nartach... z mostu? — pytamy zaniepokojeni.

— Eee, nie — śmieje się wodniak — zrobiliśmy sami małą skocznnię, umocowaliśmy ją na linie obok pływalni, mamy silną motorówkę, dwie pary specjalnych nart do jazdy po wodzie i dziesięciu odważnych skoczków.

Pogoda zapowiada się „murowana“, warto przyjść nad Wisłę. Zaraz po tym pokazie będziemy przyjmować zapisy na pierwszy kurs jazdy i skoków na nartach wodnych. Wy szkolimy każdego, kto się tylko do nas zgłosi. Stawiamy tylko mały warunek, ale zasadniczy: trzeba umieć świetnie pływać i... mieć dużo odwagi.

A więc obejrzyjmy teraz naszych „wiślanych Maruszki“. Zabieramy ze sobą fotoreportera, aby Czytelnicy mogli zobaczyć te wodne harce.

Tak więc, dzięki garstce entuzjastów z Wydz. Kultury St. R. N., narodziły się w Warszawie narty wodne. Pionierzy tego sportu mają już obiecaną pomoc od Wydziału Kultury St. R. N. Będzie i sprzęt, znajdzie się i motorówka silna i szybka, a jeszcze w ciepłe, jesienne dni rozpocznie się nauka w szkółce wodnych narciarzy.

Jaka szkoda, że do tej dyscypliny sportu nie zapalili się stołeczne, silne kluby. Jeszcze nie zobaczyły w tym sporcie całego piękna, jeszcze nie wyczuły, że teraz narty wodne będą pasjonować naszą młodzież.

A tymczasem... za granicą, narty wodne cieszą się niebywałą popularnością. Jak grzyby po deszczu powstają kluby wodniaków. Rozgrywane są już wielkie zawody, konkursy skoków. Tysiące ludzi śmieją się podziwiając wesołe pokazy ekwilibrystyczne. Na rzeki i jeziora wyruszają wycieczki wodnych narciarzy.

W tym roku w Bejrucie rozgrywane będą mistrzostwa świata w jeździe na nartach wodnych. Konstruktorzy robią coraz wspanialszy sprzęt. Są nawet tacy, którzy wymyślili już małe motorki przymocowane do nart, a jeden z angielskich mistrzów jazdy na nartach wodnych zapowiedział próbę „przeszusowania“ Kanalu La Manche tam i z powrotem. A u nas? Początek zrobiony!

JERZY CISZEWSKI

Uwaga, start! Buczy już motor łodzi. Za chwilę wypręży się linka, którą trzyma w rękę narciarz. Z drewnianego pomostu motorówka ściągnie go na falę.



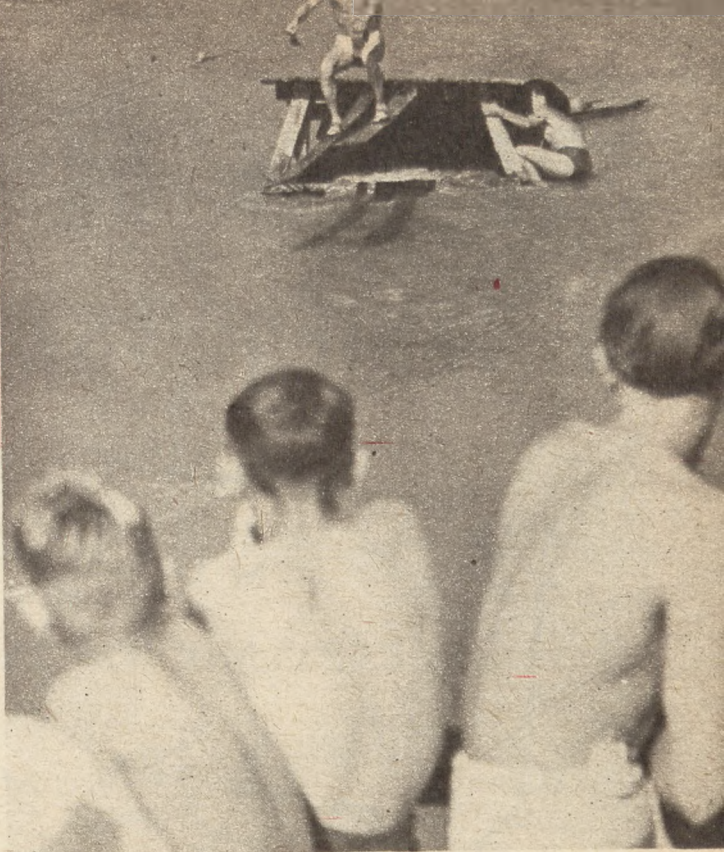
W bryzgach i pianach wiślanych fal mknie narciarz za motorówką. — Hej, dodaj gazu! — krzyczy przez huk motoru. Łódź przyspiesza. Zaraz zrobi wielkie koło. Teraz kierunek — skocznia!

# no Wiśle...

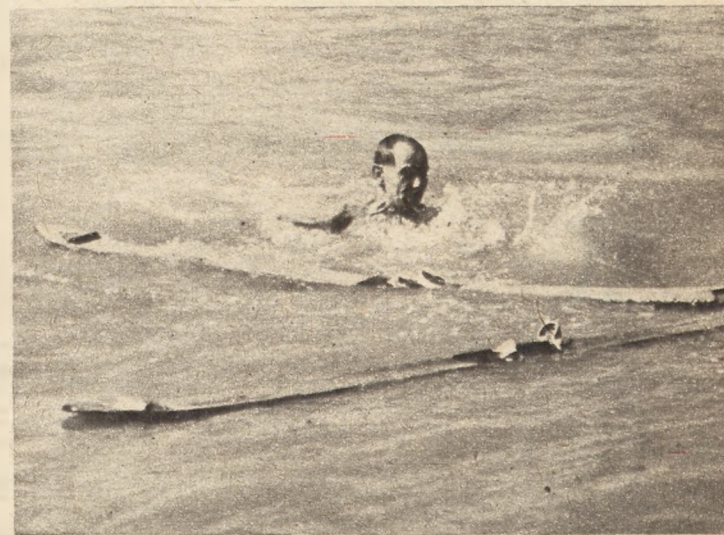
Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI



...a sztuka polega na tym, aby zaraz po skoku, kiedy deski dotkną powierzchni wody, utrzymać równowagę. Pierwszy skok w konkursie udał się znakomicie. Nie muszą chyba dodawać, że ubiór zawodnika, to... mokry kostium.



Obsługa skoczni kryje się w cieniu progu. Przed chwilą ochłapywała wodą skocznę, aby zawodnik miał lepszy poślizg



Ho, ho, ale nie wszystkie się udają. Zawodnik musi być przygotowany na kąpiel. Dobrze, że tego dnia był upał.

## TROJSKOK, 10,8 i SPRĘŻYNA

**R**OZMOWA ta odbyła się w kilka dni po zakończeniu Igrzysk lekkoatletycznych. Spotkałem go i nie poznałem, bo nosił okulary przeciwsłoneczne i zamiast dresu miał na sobie jedwabną koszulkę z krótkimi rękawami i jasno granatowe spodnie. Jednak gorliwość, z jaką otaczający go polscy trenerzy notowali to, co mówił, nie pozostawiała wątpliwości: był to Leonid Szerbakow.

— Dyktujesz receptę na rekord Europy w trójskoku?

Szerbakow błysnął zębami.

— To jest tylko moja recepta. Każdy musi mieć swoją. Jeśli sportowiec nie znalazł własnej, to znak, że jeszcze nie dojrzał. Zresztą, na każdy dzień recepta jest inna, w zależności od samopoczucia.

Oto klin, który Szerbakow zabił mi w głowę. Popsul mi od razu całą przyjemność rozmowy, bo wszystko, co mówił, przymierzałem do naszych lekkoatletów — i denerwowałem się.

— Trenuję tylko w zimie i na włosną. Jest to bardzo ciężka praca. Siłę nóg wypracowuję przy pomocy ciężaru. Biorę 35 kg i tak obciążony ćwiczę wyskoki. Oczywiście obciążone muszą być uda, a nie plecy, jak u ciężarowców.

— Dużo razy tak wyskakujesz?

— Jednego dnia 3 x 30, drugiego 5 x 20... zależy od tego, jak się czuję. Trenuję też wieloskoki, np. 10 razy po

100 m, skakania. To znaczy, że skaczę jak kangur na dystansie 100 m, potem odpoczywam, znów następne 100 m itd.

— Jak długo trzeba odpoczywać?

— To zależy od zaawansowania i znów od samopoczucia w danym dniu. Na to nie ma szablonu; znajomości siebie nie zastąpi, nawet najlepszy trener. Poza tym przerabiam, oczywiście, gimnastykę, rano biegam 3 km na przelaj itd. W lecie natomiast staram się zachować to, co zdobyłem zimą i na wiosnę, gromadzić energię, mieć zawsze świeżość i głód zawodów.

— Jak często trenujesz w lecie?

— Czasami mijają kilka dni bez treningu, w innych znów okresach wychodzę co dzień pobiegać sprinty. Na to nie ma reguły. Wszystko zależy od samopoczucia. Trzeba się dobrze znać i kontrolować. Np. w czasie zimowego treningu robię sobie przerwy kilkunastowe i wtedy staram się gdzieś wyjechać, zmienić otoczenie, odpocząć.

Po każdej odpowiedzi Szerbakowa trenerzy spoglądali na siebie i kręcili głowami: ile to trzeba będzie u nas zmienić... Kiedy Szerbakow poruszył kwestię techniki, okazało się, że nasi skoczkowie nie mają płynności w trójskoku, bo „nadziewają się” na nogę wykroczną. Wyszli na jaw cały szereg błędów treningu, który przyswoił na granicy 15 m nawet taki talent, jak Weinberg. Ale cóż, wielkość sportow-

ca zaczyna się tam, gdzie budzi się świadomość zawodnicza. Wróćmy jednak do Szerbakowa.

— W ile biegasz 100 m?

— W 11,2. Ale do 60 m prowadzę z tymi, którzy mają na 100 m 10,8. Tylko że potem nie wytrzymuję. Mnie do rozbiegu potrzebne jest właśnie 60 m.

— Czyli masz szybkość 10,8... A ile masz lat?

— 28... A mój kolega Czen — 21. Do niego należy przyszłość.

— Jakie są wymiary twojego rekordowego skoku?

— W Warszawie miałem 6,14, 4,97 i 5,24. W poprzednim rekordzie uzyskałem 6,07, drugi miałem taki sam jak w Warszawie, a trzeci 5,19. Da Silva góruje nade mną przede wszystkim pierwszym skokiem — 6,50.

— Co porabiałeś po pobiciu rekordu na Igrzyskach?

— Chodziłem na zawody, zwiedzałem Warszawę, wieczorem szło się na imprezy artystyczne. Prawie nic nie trenowałem, chyba tylko... wyciskanie sprężyny.

— ?

— Noszę ze sobą sprężynę do mierzenia siły. Takie wyciskanie bardzo wyrabia siłę, a trójskoczek musi być silny jak koń.

To mówiąc wyjął przyrząd i wycisnął 85. Ja nie osiągnąłem nawet 50.

JERZY SUSZKO



Leonid Szerbakow (ZSRR) osiągnął w trójskoku 16,35 m. A więc nowy rekord Europy!

# MIKROFON I SZPIEGOWSKA KARTOTEKA



MOWIŁ GŁOS AMERYKI  
PRZY MIKROFONIE STEFAN MICHALSKI  
RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE!

Poniżej drukujemy dalszy — trzeci z kolei — artykuł Zbigniewa Brydaka, który w rozgłoszeniach „Wolna Europa” i „Głos Ameryki” występował pod pseudonimami Wacław Karwicki

i Stefan Michalski. Pierwszy artykuł pt. „Berlińskie zasadzki” dotyczył pobytu autora w Berlinie; drugi pt. „Wartownicy” — omawiał stosunki panujące w kompaniach wartowniczych.

**W** KILKU większych miastach zachodniej Europy czyhają na uchodźców agenci RFE (Radio Free Europe). Rozległa sieć terenowych biur RFE rozciąga się od Sztokholmu, poprzez Hamburg, Berlin, Frankfurt M., Wiedeń, Rzym aż do Ankary.

Specjalni agenci wylapują skwapliwie uchodźców, stanowiących źródło informacji wywiadowczych i propagandowych dla monachijskiej centrali. Ale uchodźców jest coraz mniej — są takie miesiące, że ich wcale nie ma, i terenowe biura „Freies Europa” na próżno czekają. Jeśli trafiają się dziś jeszcze jacyś — to głównie najgorszy element kryminalny, którym się trudno w radiowej propagandzie chwalić.

Niepokoja się mr Rydbeck i mr Lisiński w sztokholmskim biurze „Freies Europa”, denerwuje się pan Bogdański w Hamburgu, p. Eljot w Berlinie musiał nawet zmniejszyć swój próżnujący personel, chodzi smutny i bez pieniędzy naganianiec berlińskiego biura RFE — „redaktor” Bogdan Osadczuk. Schudł i zmierzniał żyjący z sensacji „dziennikarz amerykański” Ponikiewski. Nie powiodło się w Trieście i w Wiedniu — trzeba zwinąć flagę — interes nie idzie.

Pocą się w frankfurckim biurze RFE z braku materiałów i dochodów Bogumił Brydak i volksdeutschka Gerda Szubert. A pracujący na kilka frontów agent Jerzy Bychowski zrobił plażę i uciekł do Kanady.

A centrala czeka...

Centrala „Freies Europa” — albo, jak mówią często na Zachodzie: „Frajerskiej Europy” — znajduje się w Monachium na skraju największego parku, zwanego Englischer Garten. RFE nie zajmuje żadnych imponujących gmachów, tylko prowizoryczne koszarowce o trzech kondygnacjach. Poszczególne skrzydła budynku wyglądają jakby przyrosłe do łukowatego kadrubą, łączącego je korytarzem z niewielkimi przybudówkami. Każde takie skrzydło, oznaczone literą, przeznaczone jest dla innego działu lub sekcji narodowościowej. „Freies Europa” posiada cztery sekcje: polską, czeską, nieco mniejszą węgierską i miniaturową rumuńską.

Cały budynek robi wrażenie prowizorki, w którą zbyt wiele nie warto było inwestować. Założenie to było o tyle słuszone, że sytuacja „Freies Europa” na terenie Zachodnich Niemiec jest rzeczywiście prowizoryczna. „Freies Europa” ulokowała się na terenie Bawarii, wykorzystując status okupacyjny. Już wtedy Free Europe Committee musiał jako prywatna instytucja zawrzeć umowę z rządem bawarskim, który pod naciskiem okupacyjnych władz amerykańskich udzielił protekcyjnej licencji i podpisał na lat pięć umowę lokacyjną. Umowa ta wygasa w 1956 roku. Wśród pracowników „Freies Europa” krąży już od dłuższego czasu pogłoski o zamierzonym przeniesieniu RFE do Portugalii, na Kretę, Cypr względnie na inną wyspę na Morzu Śródziemnym.

W ciągu blisko dwuletniej współpracy z RFE miałem okazję poznać atmosferę panującą w tej instytucji.

Kierownik sekcji polskiej Jan Nowak, powiedzmy dla ścisłości b. kpt. Jeziorański z Warszawy, opanował i obśadził garstką oddanych sobie ludzi z NiDu kierownictwo RFE, wprowadzając bezwzględna dyktaturę. Ostatnio jeszcze bardziej uderzyła mu woda sodowa do głowy, gdy objął kierownictwo polskiej sekcji RFE w Stanach; nazywa też siebie dyrektorem radia na dwóch kontynentach.

Tytułomania i mania wielkości to zresztą zjawiska, z którymi stykałem się na każdym kroku we „Freies Europa”. Trudno jest wyliczyć wszystkie te tytuły: hrabiów, prezesów, wojewodów, ministrów. Tytuł doktora jest powszechnie używany, ale jeszcze większy szacunek wzbudza tytuł hrabiego. Prezes — to żadne większe wyróżnienie, ponieważ co drugi jest prezesem czegoś, a nie brak i wielokrotnych prezesów.

Stosunki wewnętrzne, panujące w „Freies Europa”, są jedyne w swoim rodzaju. Życie polskiej sekcji to stałe

ścieranie się różnych partii i stronnictw, ambicjek i protekcyjek, wzajemne wygryzanie się, pełna plotkarstwa atmosfera małomiasteczkowego zaścianka. Na każdym kroku potknąć się można o różne „wielkie postacie” emigracji, o urażone ambicje i pretensje. Całość tych konfliktów przeorośnięta jest poza tym różnymi powiazaniami poszczególnych ludzi z wywiadem amerykańskim, bez którego poparcia trudno wyobrazić sobie, żeby ktokolwiek dostał się i utrzymał na posadce w RFE. Sam szef Security (bezpieczeństwa RFE), mr Hans Fischer, zupełnie wyraźnie dawał mi do zrozumienia w czasie jednej z rozmów, że możliwość uzyskania stałej pracy w RFE zależna jest od dobrych stosunków z Security i amerykańskim wywiadem.

Rozgrywki i stosunki wewnętrzne poznałem już w pierwszych dniach mego pobytu w RFE. Byłem goszczony kolejno przez różne stronnictwa i ugrupowania polityczne, tworzące niegdyś monachijską radę polityczną i delegującą z klucza swoich ludzi do radia. Ale z biegiem czasu, po upadku i kompromitacji rady politycznej, klucz przestał obowiązywać i sekcja polska „Freies Europa” przekształciła się w prywatny sklepik państwa Nowaków, jak to często mawiają pracownicy RFE w Monachium. Pracują tu zresztą całe rodziny: żony, kuzynki i kochanki różnych redaktorów. Wszystko to krzyżuje się ze sobą, ściera, i na tym tle oczywiście ciągle wybuchają konflikty, co ożywia trochę nudną i plotkarską atmosferę środowiska.

Spróbujmy zrobić wycieczkę po gmachu RFE. Zanim dostanie się stałą przepustkę, trzeba przejść

przez badanie — „screening” w biurze Security. Każdy interesant wchodzący do gmachu posiada swoją kartę kontrolną wizyt. Prosząc o przepustkę, podaje nie tylko cel wizyty, ale i osobę gwaranta. Kilka fertycznych panienek spełnia rolę woźnych — konwojentów doprowadzających interesanta do właściwego pokoju. Protektor po załatwieniu gościa osobiście odprowadza interesanta do wyjścia. Jeśli nie ma na to czasu, musi wezwać telefonicznie konwojentkę.

Zanim zostałem zakwalifikowany do współpracy, musiałem przejść przez biuro personalne i ręce szefa Security.

Sekcja polska mieści się w skrzydle B. Na wysokim parterze ulokowało się tak zwane „News room”, mieszczące m. in. redakcję dziennika radiowego. Dziennik ten robiony jest przez mr Korwina-Piotrowskiego, Kazimierza Wierzbiańskiego, Lada-Bienkowskiego, Krok-Paszkowskiego i innych. Robota jest dość prosta. Większość wiadomości przychodzi w półgłotowej formie z Waszyngtonu, gdzie znajduje się centrala RFE; inne znowu podawane są przez ośrodki prasowo-informacyjne Departamentu Stanu. Jeśli chodzi o wiadomości krajowe, to bardzo często powtarzane są wiadomości radia warszawskiego, odpowiednio prze-redagowane i naświetlone.

Nikt się tu z prawdziwością faktów nie liczy. Jeden z redaktorów programu RFE, stary działacz endecki Stanisław Kozł, zamieszkały w Monachium przy Jakob Klarstr. 9 (Pension Elisabeth), mówił, że ścisłość i prawda nie są argumentami działającymi na wyobraźnię czy mentalność słuchaczy RFE. Ci, którzy wykazują skłonność do słuchania programów „Freies Europa”, oczekują od tego programu odpowiadających im sensacji, które wcale nie muszą być prawdziwe czy dokładne. Program „Freies Europa” nastawia się więc na określony typ odbiorcy.

RFE posiada w swym zespole niemało „działaczy” udających robotników czy chłopów. Za osobą „średniorolnego” Lassoty ukrywa się Tadeusz Celt-Chciuk, który poza tym, że jako dziecko mieszkał na wsi, nie ma żadnego innego tytułu do przemawiania w imieniu chłopów. Całe swoje natchnienie czerpie on z krytycznych artykułów i dyskusji w krajowej prasie. Wśród kolegów nazywany jest Celt „kułackim prodyrem”.

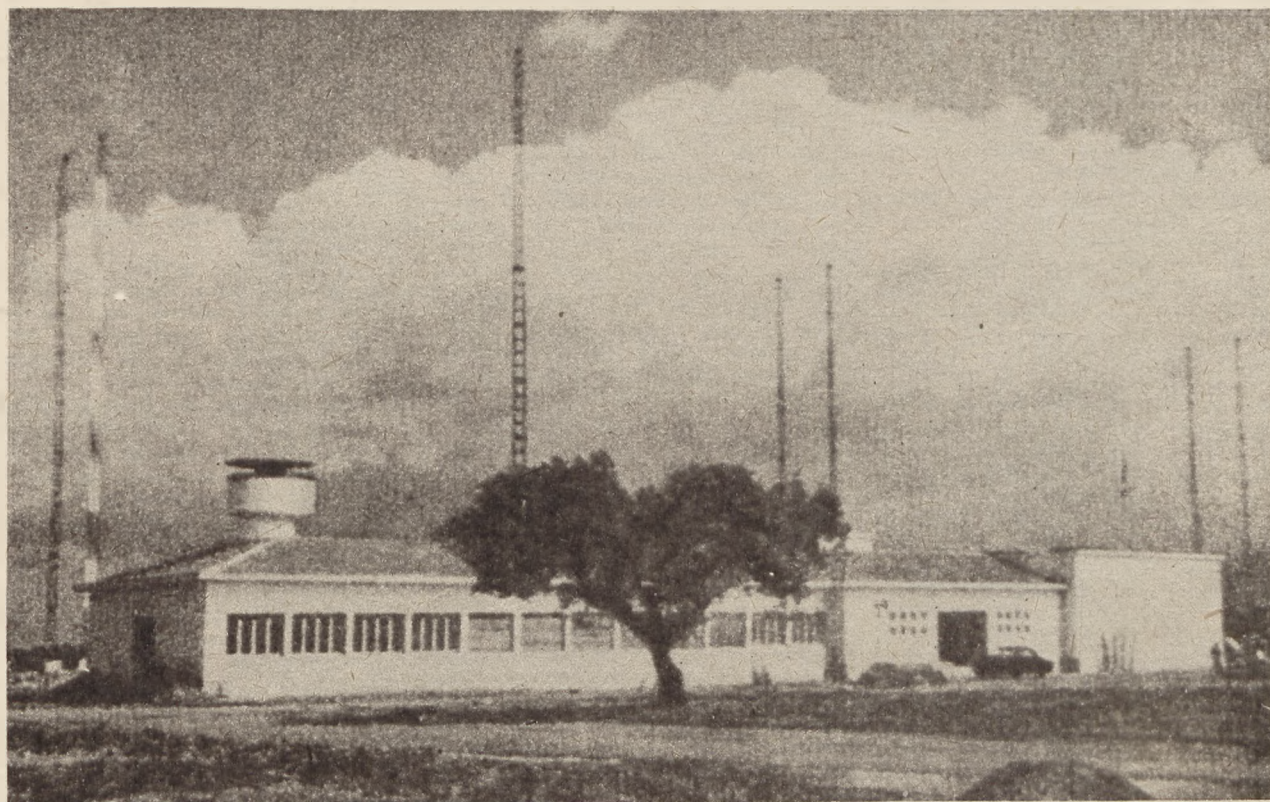
Jako komentator polityczny RFE występuje Z. Błażyński. Jego komentarze polityczne są z reguły produktem czystej fantazji.

O tym, jak „Głos Wolnej Polski” okłamuje słuchaczy, świadczą między innymi programy realizowane przez Wiktora Budzyńskiego. Co dwa tygodnie nagrywa się w studio „Nr 1” program artystyczny z udziałem „publiczności”. Na tę publiczność składają się wyłącznie pracownicy i rodziny personelu RFE oraz grupa zaproszonych jako „klaka” rekonwalescentów z sanatorium gruźliczego Gauting niedaleko Monachium. Audytorium „Nr 1” nie jest duże, posiada około 100 miejsc, ale dowcipnie rozmieszczone mikrofony potęgują efekt klaki wielokrotnie.

Bardzo zabawna jest sylwetka Szyszko-Bohusza, występującego przed mikrofonem jako Jacek Sniady. Ten pulchniutki redaktor wcale, a wcale nie wygląda na piewę idei robotniczych, za jakiego się podaje.

W preparowaniu uchodźców i wyciąganiu z nich „propagandowych kawałków” wyspecjalizował się E. Romiszewski. Praca jego stoi na pograniczu radia i wywiadu, i bez bliskiego współdziałania z amerykańskim wywiadem nie mógłby pan Romiszewski wykonywać swobodnie swych funkcji.

Robotą wywiadowczo-dywersyjną w RFE zajmuje się najpilniej zastępca Nowaka do „spraw specjalnych” — mr Zawadzki vel Zenczykowski. Jako były skarbnik NiDu uratował on trochę dolarów po osła-



Stacja nadawcza „Radia Wolna Europa” (RFE) w Monachium.

wionej aferze Bergu, po czym urządził się w „Freies Europa” jako fachowiec od „cichociemnej” roboty.

Pewna część personelu RFE starannie ukrywa te swoje powiązania z wywiadem amerykańskim, podczas gdy inni niemal otwarcie przyznają się do swoich stosunków z nim. Po wizycie. Jaką złożyłem w polskim oddziale tak zwanej „Evaluation”, nie miałem już żadnych wątpliwości co do charakteru i przeznaczenia „Freies Europa”, która w istocie jest tylko pewną formą amerykańskiej służby wywiadowczej.

Dział „Evaluation” zajmuje całe skrzydło E budynków RFE. Znajdują się tam ogromne kartoteki, całe szafy z materiałami informacyjnymi o Polsce i innych krajach demokracji ludowej. Szefem całej tej służby jest Amerykanin niemieckiego pochodzenia, Koch, a sprawy polskie prowadzone są w tym dziale przez hrabiego Czarkowskiego-Golejewskiego i jego asystenta niejakiego Klimka. Znał się on ze swoich neohitlerowskich sympatii, a Klimek w czasie okupacji był nawet w nienajgorszej komitywie z warszawskim gestapo. Stara przyjaźń nie rdzewieje — dziś są częstymi gośćmi w najbardziej reakcyjnych kołach monarchistycznych rewizjonistów i neofaszystów.

Obaj pilnie segregują informacje o kraju i jego sprawach w żelaznych szafach „Freies Europa”. Zawarte w tych kartotekach dane opracowane są nie tylko w oparciu o oficjalne źródła prasowe czy dokumentacyjne, ale jeszcze w większym stopniu oparte są o poufne materiały szpiegowskie i raporty, otrzymywane z terenowych biur RFE na podstawie przesłuchiwań uchodźców.

Hrabia Czarkowski-Golejewski — oprowadzając mnie po swoim królestwie i chwaliąc się jego dość okazałym rozmianem — nie ukrywał wcale, że poważną część zawartych w tych szafach informacji pochodzi ze źródeł konfidenalnych. Przeglądając pod opieką jednej z pracowniczek, potrzebne mi do programów materiały, napotykałem często na stemple „confidential” lub „secret” odbite na okładkach skryptów.

Pan hrabia skarżył się, że dostęp do wartościowych źródeł jest coraz trudniejszy, coraz rzadziej pojawiają się pożądane sensacje.

Ze zdobycie materiału nie jest takie proste, świadczy fakt, że redaktorzy robią krótki program „odwrotna strona medalu” — endek Wiktor Trościński i federalista Stanisław Zadrozny — pracują nad koncyplinowaniem tego programu co drugi dzień. Zanim przyjdzie pomysł, weryfikują stopy materiałów i szukają przysłowiowej dziury w całym. Zazwyczaj z drobnej krytycznej wzmianki w krajowej prasie wspomniani redaktorzy robią wielkie „halo”.

Szczególnie dużą wagę przykładają redaktorzy RFE do zeznań i wywiadów dokonywanych z nielicznymi uchodźcami. O wartości tych informacji decyduje fakt, że większość tak zwanych uchodźców stanowią zwykli kryminaliści, którzy za małe wynagrodzenie, a niekiedy za paczkę papierosów powiedzą do mikrofonu wszystko, co im redaktor podpowie. Gdyby zresztą, który uchodźca odmówił podsuwanych zeznań czy opowiadań, miałby się z pyszna... Mogę przytoczyć wypadek, jaki miał miejsce w grudniu 1954 roku. Uciekinier z kraju Wojciech Pietrusiński odmówił, brutalnie zresztą zachowującemu się Romiszewskiemu, wygłoszenia przed mikrofonem narzuconych mu zeznań. Mimo przejęcia nad nim opieki przez RFE został pozabawiony najprymitywniejszej pomocy i odesłany z czarną opinią z powrotem do obozu w zachodnim Berlinie, gdzie jako „podejrzany” posiedzi sobie dłuższy czas. W ten sposób mógł urządzić go Romiszewski tylko dzięki powiązaniom z amerykańskim wywiadem.

Każdy program przed nadaniem musi być zatwierdzony przez amerykańskiego nadzorcę, urzędującego opodal Nowaka. Niejaki mr. Rearch zatwierdzał w okresie mojej współpracy z RFE wszystkie programy, i bez jego parafy nic nie szło w eter. W „Freies Europa” nazywają to dość wymownie „keyowaniem” programu. A wszystko to razem nazywa się „Głos Wolnej Polski”...

Przeszło połowę stałego personelu „Freies Europa” stanowią Niemcy: obsadzili głównie działy techniczne i administrację, ale nie brak ich również i w Security (to jest bezpieczeństwo RFE), nie mówiąc już o tym, że wpływy ich stale rosną i zaczynają się oni wciskać do produkcji programu.

A zarobki pracowników i współpracowników „Freies Europa”? Znałem wielu szeregowych pracowników RFE, którzy żyjąc stosunkowo skromnie nie mogli związać końca z końcem. Wynagrodzenie znacznej części personelu jest nawet na monarchistyczne stosunki dość skromne, gdyż waha się w granicach od 300 do maksimum 600 DM. W przeciwieństwie do nich nieliczny personel redaktorski RFE, uprzywilejowany i płatny w dolarach, ma płace w granicach od 120 do 250 dol. miesięcznie. Nie jest to mało, ale kiedy porównamy stawki wykwalifikowanych redaktorów politycznych ze stawkami, jakie otrzymują sierżanci armii okupacyjnej USA w Zachodnich Niemczech, porównanie to wypadnie niekorzystnie dla redaktorów. To zestawienie jest o tyle ważne, że w mentalności amerykańskiej ocenia się wagę i wartość człowieka według jego rocznego dochodu. Redaktorzy RFE są więc dla Amerykanów mniej wartej od przeciętnego sierżanta armii USA, bez względu na to, czy noszą tytuł doktora, prezesa lub hrabiego. Na te różnice nie wpływa fakt, że personel „Freies Europa” wykonuje robotę nie tylko propagandową, ale i wywiadowczą.

Personel RFE zdążył się już całkowicie zamerykanizować i robi to, co mu każą. Ludzie ci mają jedną troskę i jedną myśl: za wszelką cenę utrzymać się na posadzie. Niezależnie od tego robi się we „Freies Europa” wszystko, żeby nie drażnić rewizjonistów zachodnio-niemieckich. Dlatego też RFE przemilcza stale problematykę Ziem Odzyskanych.

Reżyser programów pan Jasiewicz, którego ani polityka, ani wielkie słowa nie obchodzi, mówi: „Amerykanie płacą, Amerykanie wymagają, Nowak pilnuje i robię tak, jak każą”. Dodaje przy tym rzeczowo: „Mają ochotę — niech wyrzucają pieniądze w błoto. Przynajmniej się jakoś przy tym nieźle żyje. Jak im się ta zabawa znudzi, będzie gorzej”.

Takie poglądy posiada więcej pracowników RFE. Wielu jest też takich, którzy zdają sobie sprawę, że godziny RFE są policzone. Romiszewski przyznał mi się kiedyś w zauszaniu, że był okres, kiedy mieszkali na walcach i marzyli z żoną o kupnie samochodu, żeby było czym uciekać.

O tym, że „Freies Europa” jest instytucją prywatną, dowiedziałem się od opiekujących się mną redaktorów Romiszewskiego, Trościńskiego, Zadrozno i innych.

Nawet na Zachodzie mało kto orientuje się, na czym polega ów prywatny charakter „Freies Europa”. Nowojorski Komitet Wolnej Europy (Free Europe Committee) subwencjonowany jest przez kilku amerykańskich milionerów, którzy w zamian za to uzyskują ulgi podatkowe, lub — co więcej — zalicza im się te subwencje na konto podatków, co w rezultacie sprowadza się do ukrytych subwencji rządowych.

Pytam jednego z redaktorów RFE: pó co taka skomplikowana kombinacja? Przyznał z rozbijającą szczerością, że rząd USA woli się do takiej awanturki, niż do polityki szpiegowskiej imprezy oficjalnie nie przyznawać...

Z ust odpowiedzialnego pracownika RFE padło tedy wymowne wyjaśnienie istoty „Freies Europa”: nazwał on rzecz po imieniu: awanturnicza impreza szpiegowska.

Mimo tych półrządowych, półmilionerskich subwencji — fundusze „Freies Europa” wykazują stałą tendencję do kurczenia się, zmuszając dyrekcję i komitet RFE do wprowadzenia oszczędności budżetowych i zwięźania działalności. Świadczy to o coraz mniejszym zainteresowaniu dla RFE wśród społeczeństwa amerykańskiego.

STEFAN MICHALSKI

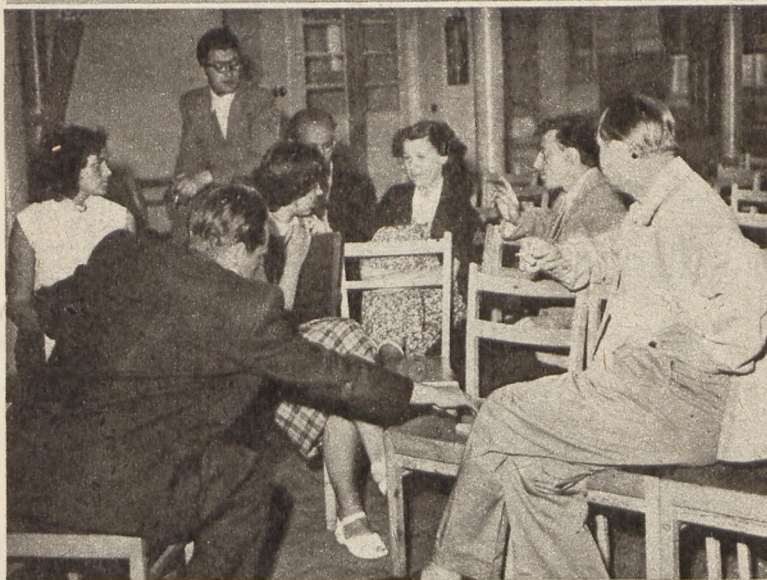
# JEDEN z 24 tysięcy

Fot. W. PRAZUCH



„Tu Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne. Kierownik zaopatrzenia, Adler, przy telefonie. Mamy na Festiwal doprowadzić wodę do 400 kłosek. Musicie nam w ciągu 3 dni dać rury i blacharzy”.

A wieczorem: „Tu zakłady fonograficzne nr 3. Gabinet dyrektora, woźny Włękowski przy aparacie. Nie ma dyrektora. Tak jest, imieniny pana dyrektora. Tak jest, powie się panu dyrektorowi”.



Dzisiaj próba. Reżyser Leon Leński (pierwszy z prawej) dyskutuje z zespołem nad zmianami, jakie należy wprowadzić do repertuaru estradowego. Próby odbywać się będą dwa razy w tygodniu.



Technik Bogdan Bogdański opracowuje projekt instalacji wodociągowo-kanalizacyjnej dla budynku przy ul. Grażyny. „Jeśli nie przekroczymy planu kosztów — zapewnią go koleżanka Hanka Kowalewska — dostaniemy wyróżnienie premii za cały kwartał. Będziesz miał o 30 procent więcej”.

— Dlaczego właśnie oni? Dlaczego, skoro jest ich w Polsce 24 tysiące, wybrałaś ten właśnie, a nie inny? — Zabawni jesteście, doprawdy. Przecież którykolwiek bym wybrała, zadaliście mi to samo pytanie. Ale prozę bardzo, mogę odpowiedzieć. Ręce myjcie!

— Oczywiście, i nie tylko ręce.

— Herbatę pijecie?

— No pewno, ale co to ma do rzeczy?

— No więc, oni są właśnie panami waszego mycia i picia. W jaki sposób? Bardzo prosty. To jedyna w Warszawie instytucja, która podłącza wodę do waszych mieszkań. Teraz już chyba zaczynacie rozumieć. Po pierwsze — miał być jakiś zespół warszawski. Poza tym najważniejsze było to, żeby nie był ważny. Nie taki, o którym się pisze w gazetach, któremu wszyscy ze wszystkich stron pomagają, aż staje się zespołem na wpół zawodowym. Chodziło o najzwyklejszych, szarych ludzi, których codzienna praca jest niezbędnym ogniwem w olbrzymiej maszynie naszego życia i których codzienną pasją jest... teatr.

Przypadek miał tu oczywiście również coś do powiedzenia. Gdyby zdarzyło się, że zatrzymany któregoś dnia taksówkarz powiedział: „Nie pojadę, proszę pani, bo muszę się spieszyć na próbę”, oglądaliście prawdopodobnie na tym miejscu zdjęcia taksówkarzy z MPT i robotnic z Miejskich Pralni i Farbiarni (ponieważ wśród kierowców taksówek nie ma kobiet, bez których znów nie może istnieć zespół teatralny, skojarzyli się oni z MPF, gdzie na odmiennie króluje płeć piękna). Bo wyobraźcie sobie — choć może trudno w to uwierzyć — że są szoferzy, którzy rezygnują z możliwości większego zarobku, byle tylko grać w zespole, tak jak są tramwajarze, którzy po to tylko biorą ulgowy wóz (cztery godziny służby), żeby nie spóźnić się na próbę, żeby grać...

Ale stało się tak, że przechodząc koło jednej z warszawskich szkół ujrzałam młodego człowieka zamazyszczone obracającą gwintownicą. Umorusany miną, z zasmolonymi rękami i małą welnianą czapczką na głowie niczym nie różnił się od zwykłego normalnego hydraulika. Jakież było moje zdziwienie, gdy usłyszałam, że mówi sam do siebie, i to w dodatku jakiegoś bardzo dziwne rzeczy:

— Ciociu, ciociu! Każdy człowiek ma jakąś namiętność. Jeden — znaczki, drugi — motyle, ciociu ma śpiżarnię, wujek — od czasu nominacji — wzniosłe słowa, a ja — business...”

Bardzo przepraszam, co pan mówi, proszę pana?

No i właśnie tak się zaczęło. Jerzy Górny — hydraulik Miejskiego Przedsiębiorstwa Instalacyjnego, szykując podjeżdża pod umywalki dla jednej ze szkół, którą przygotowywano na siedzibę dla uczestników Festiwalu, powtórzył sobie rolę Poldka z „Imienin Pana Dyrektora”. Zwyczajnie i po prostu. Bo mają u siebie zespół, ba i to nie byle jaki, nagrodzony przez CRZZ w ogólnopolskim konkursie zespołów amatorskich. W eliminacjach powiatowych wystąpili z „Niedźwiedziem” Czechowa uzyskując pierwsze miejsce. Zespół zorganizowali samorządnie w kwietniu ub. roku. Właściwie to nawet wcześniej, ale najpierw nie nje wychodziło, dopiero gdy dostali nowego instruktora, Leona Leńskiego, ruszyli pełną parą. Odtąd próby dwa razy w tygodniu, a gdy trzeba to i częściej, no i występy. Występy, występy. W różnych zakładach pracy, na wsi, gdzie zaproszą. Sami starają się o kostiumy (najczęściej wypożyczają z teatrów), sami zbudowali sobie scenę, obili kulisy, sami przygotowują dekoracje. Mają żony, mężów, dzieci, mają swoje codzienne troski, kłopoty i radości jak setki tysięcy innych ludzi, ale poza tym mają jeszcze tę największą radość, tę namiętność, tę pasję — teatr! Niech Wam zresztą opowiedzą o tym zdjęcia. (h)



Na scenie ich rozmowa wygląda nieco inaczej: „Oszałamiałem, zakochałem się jak smarkacz, jak dureń! Kocham panią! Kocham, jak nigdy nikogo nie kochałem! Porzuciłem dwanaście kobiet, dziewięć porzuciło mnie, ale żadnej nie kochałem tak jak pani...” Oto fragment sztuki Czechowa „Niedźwiedź”, w wykonaniu zespołu.

**VIII Festiwal**

# FILMÓW RADZIECKICH



„Romeo i Julia” — nieśmiertelny dramat Szekspira, nieśmiertelna muzyka Prokofiewa od lat stanowi nieślabnącą pokusę dla realizatorów filmowych. Film, który zobaczymy wkrótce, zrealizowany został w 15 rocznicę prapremiery teatralnej tego słynnego baletu. W Cannes uzyskał nagrodę jako najlepszy film liryczny.



„Żurbinowie” to niejako saga rodu stoczniowców, historia trzech pokoleń. W jednej, licznej rodzinie istnieją najrozmaitsze konflikty, które film pokazuje w sposób ogromnie sugestywny, głęboko ludzki. Nie ma w nim postaci schematycznych, sztucznych bohaterów. Dlatego ludzie z ekranu stają się nam bliscy.

...rozpocznie się w tym roku 9 września i trwać będzie przez cały miesiąc. Na ekrany naszych kin — obok wznowień znanych filmów — wejdzie 20 pozycji zupełnie nowych, a dających bogaty przegląd twórczości kinematografii Kraju Rad.

W owej cyfrze „20” — znajdzie się 7 filmów fabularnych, 7 — dokumentalnych i 6 — dla dzieci.

Zapoznajmy się z niektórymi z tej dwudziestki. A więc — przede wszystkim filmy fabularne: „Żurbinowie” — wg znanej powieści Koczetowa, w reżyserii Cheffica, z Lukianowem i Andrejewem w rolach głównych; dalej — „Stara forteca” wg scenariusza Bielajewa i Blejmana, stanowiąca debiut reżyserski dwóch młodych twórców radzieckich — Ałowa i Naumowa; na współczesnej tematyce oparty film pt. „Dzieci partyzanta”, słynny już na świecie film-balet „Romeo i Julia”, wyreżyserowany przez Lawrowskiego i Arnsztama, który sam jest znakomitym muzykiem. Zobaczymy uroczą komedię „Konik polny” w reżyserii laureata Nagrody Stalinowskiej — Dolidze, przepiękną zdjęciowo „robinsonadę” „Na bezludnej wyspie”, oraz — jako ostatni z filmów fabularnych — ciekawy zestaw skomponowany z 4 nowel Czechowa: „Paniusie”, „Nieprawie dziecko”, „Broszka” i „Na letnisku”. Ta ostatnia nowela grana jest przez kukielki.

Z dokumentalnych filmów szczególnie zainteresują polskiego widza dwie pozycje o Czechowie i Gorkim, a wśród filmów dla dzieci najwięcej entuzjastów zdobędzie sobie przypuszczalnie „Królowa Żabka” i nagrodzona na festiwalu w Cannes „Złota antylopa”. Czy nasze dzieci będą tego samego zdania — co autor niniejszego — pokaże najbliższa przyszłość.

A teraz przyjrzyjcie się zdjęciom z niektórych zapowiedzianych filmów.

## SZCZĘŚLIWY STRALSUND

W nie bardzo wielkim, 60-tysięcznym porcie NRD Stralsundzie, przy nowo-wznieszonej Stalin Alei, buduje się nowe kino. Jego widownia obliczona jest na 4.000 miejsc. Mieszkańcy nieco większego miasta, Warszawy, wzdychają: jak już w Warszawie otworzy się nowe

kino (w temple: co rok prorok) to ma zawrotną ilość 350, 450, rzadko 600 miejsc. Kina — małe. A co duże? Kto zgadnie? Tak jest, ogonki...

## MODA NA EKRAN PANORAMICZNY

Moda na film panoramiczny zapanowała wszechwładnie w USA, a zaczyna szerzyć się również w Anglii i Francji. Do pro-

dukcji „na szeroki ekran” posyła się masowo scenariusze, które wcale nie roją, by miały wyzyskać nowe możliwości, jakie stwarza ekran panoramiczny. Niedawno pewnego scenarzystę francuskiego zapytano, czy to bardzo trudno pisać scenariusze „na szeroki ekran”. „Wcale nie — odpowiedział scenarzysta — trzeba mieć tylko maszy-

nę z szerokim wałkiem i wkręcać papier wszędy, a nie wzdłuż. To wszystko!”

## LA FONTAINE SCENARZYSTA FILMU RYSUNKOWEGO

Kto, jak nie Francuz, winien był dojść do wniosku, że bajki La Fontaine’a są pierwszorzędnym materiałem dla filmu rysunkowego? Ostatnio naj-

wybitniejszy reżyser francuskich filmów rysunkowych, Jean Image (nomen omen, bo „Image” znaczy „obraz”) przystąpił do pracy nad filmem „Konik polny i mrówka”. Według nieśmiertelnego utworu wielkiego bajkopisarza. Muzykę dla filmu pisze znany kompozytor Joseph Kosma, nawiązując do po-

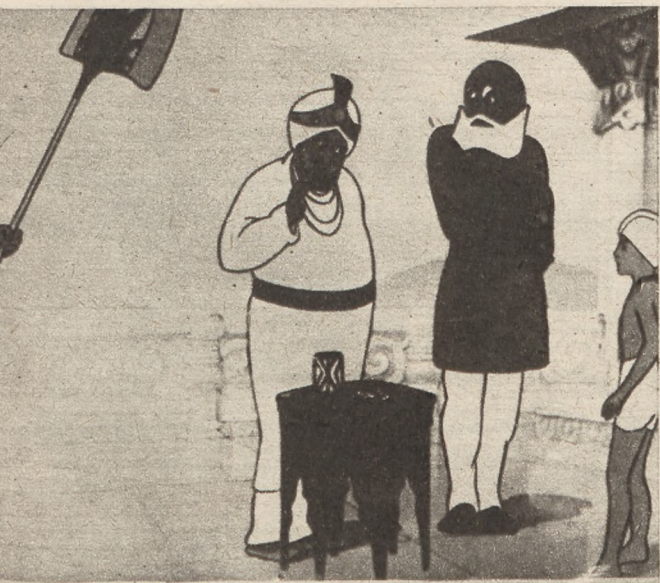
To  
ciekawe



Barwny film radziecki „Dzieci partyzanta” to historia dwojga dzieci, które wpadają na trop wrogiej szajki dywersantów. Film zobaczymy na ekranach w polskiej wersji językowej w okresie obecnego Festiwalu.



„Konik polny” — prze zabawna komedia... Ileż nieporozumień wywołać może dziewczyna o lekkomyślnym usposobieniu! Przekonacie się o tym na filmie.



„Złota antylopa” to barwny film rysunkowy. Przeznaczony jest przede wszystkim dla dzieci, ale na pewno zechcą go zobaczyć wszyscy, bez względu na wiek.



W polskiej wersji językowej zobaczymy rysunkowy film „Królewna Zabka”. Dzieci znają na pewno tę bajkę z wydań książkowych. Teraz ujrzą ją na ekranie.

„Stara forteca” nawiązuje do lat Rewolucji Październikowej i pierwszego po niej okresu. Wśród wykonawców zobaczymy przedstawicieli 3 generacji aktorskich.



popularnych piosenek dziecińczych.

#### OSZCZĘDNOŚĆ JEST MATKĄ WYNALEZKÓW

Mato komu wiadomo, że nie wszystkie narody oglądają filmy w jednakowych warunkach. Np. w Grecji — choć jest tam wielu analfabetów — filmy dubbingowane nie cieszą się popularnością, po-

dobnie zresztą, jak w całej Ameryce Łacińskiej. Filmy w Grecji opatrzone są napisami, ale w sposób oszczędnościowy. Wyświetla się mianowicie kopię zagraniczną bez żadnych zmian, a tylko na małym ekraniku, umieszczonym pod ekranem, wyświetla się napisy greckie z osobnego rzutnika. Absorbują to dodatkowego „operatora napisów”, któ-

ry — ponieważ rzadko kiedy jest poliglota — najczęściej wyświetla wcale nie ten napis, który danej scenie odpowiada.

#### JĘZYK OXFORDZKI W OHIO

Zrzeszenie niezależnych dystrybutorów filmowych stanu Ohio zaprotestowało uroczyście przeciw polityce wytwórni hollywoodz-

kiej Warner Bros, która swój nowy film „Duel in the Jungle” reklamuje dla odmiany jako „angielski”. Powód protestu? „Dla naszej publiczności — stwierdzają dystrybutorzy — termin: „film angielski” oznacza film mówiony językiem oxfordzkim, a to wystarczy do masowej ucieczki widzów”.

# Tu mówi Indonezja!

WALTER KAUFMANN

Przełożył: JOZEF BRODZKI

Opowiadanie nagrodzone na konkursie literackim V Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży i Studentów

**B**ILL DREWETT, doker w porcie sydneyjskim, wstał po ciemności nie budząc śpiącej żony i równie po ciemności ubrał się. W pokoju było jeszcze prawie ciemno, pierwszy dzienny brząsk zaledwie zaczął przenikać przez okno. Bill w skarpetkach wszedł do kuchni, zapalił zapalniczkę i postawił czajnik na gazowej kuchence. Obiad, który miał ze sobą zabrać, był już zapakowany w pergaminowy papier: było tam sześć kanapek — o dwie więcej niż zazwyczaj. Na paczce leżała ponadto karteczka, na której widniały trzy słowa, napisane przez Mary dużymi literami, przypominającymi dziecięce pismo: „Kochanie, bądź ostrożny!”.

Bill uśmiechnął się. Bardzo długo trwało, zanim się czajnik zagotował. Bill nie doczekał się i zalał nie gotowaną, gorącą wodą szczypotę herbaty. Liście herbaty pływały jeszcze na powierzchni czajnika, kiedy Bill nalał sobie filiżankę herbaty. Pił ją małymi łykami, wypływając listki — wreszcie zniecierpliwiony wylał do zmywaka resztę pozostałą w czajniku. Zegar stojący na kominku wskazywał godzinę piątą bez piętnastu minut. Czas było wyjść z domu. Bill włożył swój obiad do plecaka, w którym się już znajdował hak, służący do zaczepiania przenoszonych ładunków, roboczy kombinizon i manierka, po czym bezgłośnie wyszedł z domu i dopiero w drzwiach wiodących na ulicę włożył obuwie. Cichą, bezludną jeszcze o tej porze ulicą szedł w kierunku portowego wybrzeża.

Przechodząc obok domu, w którym mieszkał Toekliwon, Bill gwizdnął dwa razy, dość nawet głośno. Niemal jednocześnie z domu wyszedł sekretarz Związku Indonezyjskich Marynarzy, młody Jawańczyk, Toekliwon.

— Halo, Took. Chodźmy, żywo!

Obydwaj ruszyli z miejsca rażnym krokiem. Przy Australijczyku, który był dość wysoki, Toekliwon robił wrażenie małego chłopca. Był małomówny — spędził bezsenność przy maszynie do pisania, wystukując listę holenderskich statków znajdujących się w portach australijskich, przy czym wymienione były porty, do których te statki się udawały, przewidywane daty odplynięcia, nazwiska strajkujących marynarzy-Indonezyjczyków, oraz inicjały australijskich związków marynarzy i robotników portowych.

Dla kogoś, kto miał niezbyt dużą wprawę w posługiwaniu się językiem angielskim i maszyną do pisania, była to wcale niełatwa robota, ale Toekliwonowi nie brakowało uporu: pracował z wysiłkiem i zawziętością, na jaką go tylko było stać.

Tej nocy, w sierpniu 1945 roku, zlał w radio transmisję ze swej ojczyzny, z Indonezji. Było to krótkie, lecz wstrząsające orędzie rozpoczynające się od słów: „Tu mówi Indonezja!” A dalej: „My, lud Indonezji, ożywiony najwznioślejszymi ideałami wolności, proklamujemy niniejszym niepodległość naszego kraju. Prezydent Republiki, Sukarno”.

Orędzie podziało na niego jak najbardziej podniecający środek — nie czuł już zmęczenia, a kroki, które teraz stawiał, były energiczne i różne.

Doki, położone wzdłuż brzegów, wciąż jeszcze były bezludne, a bramy prowadzące do nich — zamknięte. Statki na szarawym tle nieba wyglądały tego wczesnego ranka ciemne i ponure. Idący przebyli spory szmat drogi, jedynie od czasu do czasu spotykając jakiegoś wartownika lub paru zmęczonych marynarzy powracających na pokład swych statków.

Teraz przyłączyła się do nich trzecia osoba. Był to mężczyzna średniego wzrostu, dość szczupły, o chudej twarzy, wystającym podbródku, ciemnych oczach i kosmyku tak cieniutkich siwych włosów, że rozwiewały się przy najmniejszym wietrzyku.

— Took, to jest Stan Moran, jeden z naszych towarzyszy! — powiedział Bill Drewett.

Podali sobie ręce. — Cieszę się, że mogę was poznać, towarzyszu! — powiedział Stan Moran.

## MOJA DROGA DO LITERATURY

(Wypowiedź W. Kaufmanna)

specjalnie dla „Świata“

**J**ESTEM Australijczykiem. Mam obecnie 31 lat — miałem w swoim życiu wiele najróżniejszych zajęć: byłem podczas wojny żołnierzem, byłem ulicznym fotografem, robotnikiem portowym, pracowałem na holowniku, pływałem po morzach jako palacz okrętowy.

Na ogół jestem w ciągłym ruchu — uspokajam się jedynie wtedy, gdy piszę, a to dlatego, że nie ma na świecie rzeczy, której pragnąłbym bardziej aniżeli tej jedynej: zostać pisarzem. Wtedy ani miejsce, ani czas nie odgrywa żadnej roli. Tylko ci, którzy sami coś tworzą, wiedzą, jaki spokój sypie na człowieka z chwilą, gdy wydobywa z siebie i daje wyraz temu, co w nim płonie.

Kiedy w 1946 roku zostałem zdemobilizowany, obrałem zawód ulicznego fotografa w porcie w Melbourne. Nie był to oczywiście najdogodniejszy sposób zapewnienia sobie środków utrzymania, ale wybrałem go dlatego, że nie wymagał wielkiego wysiłku i dawał swobodę poruszania się. Niejednokrotnie spisywałem wtedy — po prostu dla własnej przyjemności — różne wydarzenia i przygody, takie sobie „skrawki życia”, których było pełno dokoła: o bokserze, którego fotografowałem, gdy w urzędzie stanu cywilnego podpisywał „kontrakt małżeński”, o dziewczynie, która trzymając w ręce siatkę z najzwyklejszymi, codziennymi zakupami koniecznie chciała być sfotografowana na tle najnowszego modelu luksusowej limuzyny Buick. Spisywałem przeróżne historie.

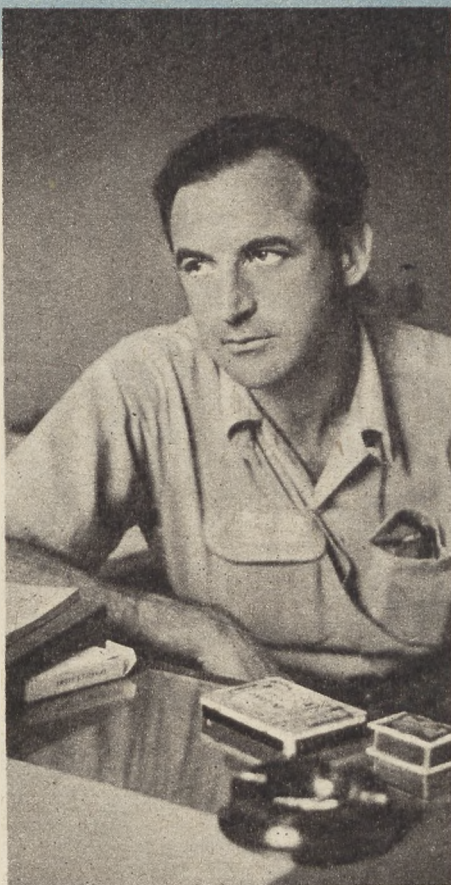
Ale prócz tego wszystkiego, co się działo na zewnątrz mnie, istniała ponadto opowieść o moim własnym życiu, która natarczywie domagała się, by ją opisać. Były to dzieje chłopca, który uciekł z hitlerowskich Niemiec, bo ja nie jestem urodzonym Australijczykiem: urodziłem się w Berlinie, moi rodzice byli Żydami. Tuż przed wybuchem wojny uciekłem z Niemiec do Holandii, a stamtąd do Anglii, gdzie zostałem internowany i ewakuowany do Australii. Było nas, rozbitków i zbiegów z wielu krajów, około dwóch tysięcy na tym statku — a właściwie „pływającym więzieniu”. W tym samym czasie, kiedy ja owego roku 1940 wędrowałem przez Pacyfik, moi rodzice odbywali bardzo tragiczną podróż: do Oświęcimia, skąd już nigdy nie powrócili.

Czułem, że muszę walczyć piórem przeciwko faszystom. Życie pod panowaniem Hitlera zostawiło we mnie głębokie ślady, musiałem się oczyścić z tego, co miałem już za sobą, musiałem wyraźnie wskazać palcem na to, co niósł ze sobą faszizm. Do pisania mojej pierwszej powieści, noszącej tytuł „Głosy wśród burzy” (Voices in the Storm — wydana w Melbourne w 1953 r.), zabrałem się z sercem przepełnionym gniewem i miłością — gniewem przeciwko hitleryzmowi i miłością dla tych, którzy mu się przeciwstawili i walczyli z nim.

Kiedy zacząłem pisać tę moją pierwszą książkę, zostałem uwolniony z „oboazu internowanych” i dostałem pracę u pewnego australijskiego farmera w głębi kraju. Następnie cztery lata wojny spędziłem w „batalionach pracy”, jako żołnierz armii australijskiej.

Tu, w środowisku ludzi jawnie występujących przeciwko faszystom, nauczyłem się bardzo wiele, nauczyłem się rozumieć czasy, w których żyłem. Będąc żołnierzem armii australijskiej zostałem komunistą.

W 1947 roku przystąpiłem do ugrupowania postępowych pisarzy, które powstało w Melbourne. Było nas około dwunastu — uważani byliśmy za „pisarzy-realistów”. Prawie żaden z nas nie drukował jeszcze w owym czasie swoich utworów, ale każdy



z nas miał nieprzewidywalną potrzebę pisania, każdy miał coś do powiedzenia.

Byliśmy nieznanymi w 1947 roku, „nie drukowanymi” w żadnym piśmie. Wybraliśmy własną drogę do literatury i oto dziś wielu spośród nas zdobyło poczytność w Australii, niektórzy są nawet bardzo znanymi pisarzami. Stało się to dzięki temu, że byliśmy „rebeliantami” i pozostaliśmy nim po dzień dzisiejszy.

Do naszej grupy należał Frank Hardy, autor świetnej książki „Power without Glory” („Potęga bez sławy” — tłumaczonej na polski), Ralph, de Boissiere, który napisał „Crown Jewels” (Klejnoty korony), Eryk Lymbert — autor „Opowieści o dwudziestu tysiącach złodziei”, Dawid Martin, poeta, Monn Brand — autorka dramatycznej, Judah Waten — autor wstrząsających opowiadań z życia Żydów — zbiegów z faszystowskiej Europy.

Parę słów o tej wybranej przez nas drodze. Poglądy, jakie wyznawaliśmy, były zbyt radykalne, zbyt lewicowe, a to, co pisaaliśmy, było zbyt rewolucyjne, by którykolwiek z wydawców australijskich zechciał to wydać. Prasa miejscowa ignorowała dłuższy czas sam fakt naszego istnienia, radio było zamknięte przed nami. Jeżeli znają nas dziś w Australii, mamy to do zawdzięczenia klasie robotniczej, do której zwróciliśmy się.

Oto, co powiedzieliśmy im: Chcemy pisać książki, które będą mówiły o naszym życiu i o walce, jaką toczyliśmy. Przyjdźcie nam z pomocą! Zapisujcie się na członków założonego przez nas wydawnictwa postępowych pisarzy australijskich. Wasze składki członkowskie pomogą nam wydrukować książki, których żaden wydawca ka-

pitalistyczny nie chce wydać. Wasza walka jest również naszą walką!”

W ten sposób powstało wydawnictwo noszące nazwę „Australian Book Society”. Za składki wpłacone przez robotników fabrycznych, przez marynarzy, dokerów, stoczniovców i górników wydaliśmy to wszystko, czego napisanie niejednemu z nas zabrało lata całe. Zorganizowanie tego nie było łatwe. Trzeba było zająć się zarówno sprawą druku, jak kolportażem, trzeba było prowadzić rachunkowość, mieć odpowiednie biura. Niektórzy spośród nas musieli na pewien czas (niestety na parę lat) przerwać pracę pisarską i zająć się sprawami wydawnictwa. Stał się „urzędnikami postępowej literatury” — ale warto było poświęcić temu zajęciu swój czas i swe siły. Były to niezapomniane lata zdobywania nowych doświadczeń i umacniania się w nas wiary w słuszność podjętej sprawy.

Niech mi wolno będzie w krótkich słowach opowiedzieć, jak wtedy, parę lat temu, wyglądał mój dzień roboczy po napisaniu „Głosów wśród burzy”. Zaangażowałem się jako palacz na statek, który udawał się w długą podróż: trzeba było zarobić trochę pieniędzy, no i... zebrać myśl do rozpoczęcia nowej powieści, której pomysły już miałem niemal gotowy.

Okręt, na którym pływam (wciąż jako palacz) przybywa do portu Kembla, w Nowej Południowej Walii. W mojej walizce mam rękopisy i egzemplarze mojej wydrukowanej książki oraz innych naszych wydawnictw. Jest została rano. Wsiadam do pociągu, który udaje się do pobliskiej kopalni węgla. W pociągu jedzie mnóstwo górników. Słyszeli już coś nieco o naszym wydawnictwie i o naszych książkach. Na pociąku przed wejściem do kopalni urządzam krótki wiec. Górnicy mają już na głowach hełmy z lampkami — za chwilę zjadą na dół. Ich delegat związkowy przedstawia mnie. Mówię około 15–20 minut o treści mojej książki, o innych, o faszystach, o naszej grupie pisarzy-realistów. Zadaję mi pytania, odpowiadam na nie. Wzywam do zapisywania się na członków naszego wydawnictwa, o wpłacanie składek. Rezultat: dwudziestu czterech na osiemdziesięciu obecnych zapisuje się, wpłacając drobne składki, kupując na spłatę książki. Rozlega się syrena i górnicy zjeżdżają pod ziemię...

W południe jestem z powrotem w porcie. Znowu przedstawia mnie przedstawicielowi związku zawodowego. „Posłuchajcie, chłopcy, przyjechał do nas pisarz-autor”. Rozmawiam z nimi w kantynie. Sprzedam 45 książek.

Nie będę opisywał całego dnia. Byłem w stoczni, w hucie, wśród robotników portowych. W ciągu tego jednego dnia nasze wydawnictwo zyskało z górą pięćdziesięciu członków-subskrybentów. O około 200 egzemplarzy książek postępowych pisarzy australijskich rozeszło się pomiędzy ludźmi o spracowanych, twardych rękach...

W ten sposób zaczęliśmy — dziś przeszło 40 tysięcy naszych książek znalazło drogę do australijskiego czytelnika, mamy przeszło trzy tysiące członków-abonentów... A przecież to wszystko dzieje się w kraju, który liczy zaledwie osiem milionów ludności... Nasze książki już zawędrowały za morza, na inne kontynenty. Księgarnie w Sydney i w Melbourne muszą sprzedawać nasze książki, gdyż publiczność chce je kupować.

Nasze początki w 1947 roku — takie nieśmiałe i skromne — dały znakomite wyniki. Droga do literatury przez klasę robotniczą, z nią i dla niej okazała się doskonałą. Bo też jest nią w istocie.

WALTER KAUFMANN

Warszawa, sierpień 1955

W jego sposobie zachowania się było coś, co budziło w innych pewność, że to, co się ma w tej chwili do zrobienia, jest bezwzględnie konieczne i musi być za wszelką cenę zrobione.

Toekliwon odniósł widocznie to samo wrażenie i całkowicie zaufał mu, o ile chodzi o to, co mieli właśnie do zrobienia; od czasu bowiem, kiedy marynarze-Indonezyjczycy zaczęli opuszczać pracę na statkach holenderskich, on, jako sekretarz tego związku, odnalazł ludzi podobnych do Biila Drewetta, albo do takich, jak ten Stan Moran, gotowych w każdej chwili poświęcić swój czas, pieniądze i cały zapal sprawie wyzwolenia jego narodu, Indonezyjczyków. Tych oddanych towarzyszy można było znaleźć i wśród marynarzy, i robotników portowych, wśród szoferów ciężarówek, metalowców, malarzy, dokerów i górników... Australia to przecież nie mały kraj...

— No i co? „Van Swoll” wciąż jeszcze stoi na kotwicy koło cypla Bradleja. Widziałem, zanim tu przyszedłem — powiedział Stan Moran. — Zda się, że przyjdziemy w samą porę.

— Tak. Czy Mac wie, że mamy przyjść?

— Jeszcze nie, ale wkrótce będzie wiedział — odparł Stan.

Wszyscy trzej zbliżyli się do niewielkiej przystani łódek przy nabrzeżu, gdzie na parkanie dużymi, czerwonymi literami napisano: „James Mc Coy — Wynajem łódek”. Wąska kładka prowadziła na brzeg. Drzwi były otwarte na oścież. Na pryczy leżał jakiś stary człowiek w gumowych butach, w kombinzonie i dziurawym swetrze, w czapce nasuniętej na oczy.

Stan Moran zamienił wymowne spojrzenie z Billem i Toekliwonem.

— Musiał sobie stary nieźle podpić! — powiedział z przekąsem, mocno waląc w drzwi. — Mógłby być abstynentem, co? Wstawaj, Mac! — wołał głośno.

Stary przeciągnął się, wreszcie usiadł na trzyczęściwej pryczy.

— Po co krzyczysz, Stan? Jeszcze nie ogłuchł. Słyszysz przecież, co mówisz — rzekł Mac. — Abstynentem nie jestem — to prawda, bo to jest niedozwolone przez moją religię.

Stan roześmiał się.

— Chcemy wynająć łódkę, największą, jaką masz...

— Może tę? — zapytał Stan.

— Na kiedy?

— Teraz. Zaraz.

— Po co?

— Mam zabrać paru marynarzy ze statku, co stoi przy cyplu Bradleja.

— Z „Van Swolla”? — zapytał Mac drapiąc brodę i badawczo przyglądając się Stanowi. — Oni tam mają tajniaków na pokładzie...

— A czy ja sobie co robię z tajniaków? — odpowiedział mu Stan.

Stary Mac zarechotał.

— Ho... ho... z pewnością nie!... zgodził się chętnie. Dla Mac’a bowiem Stan Moran był jednym z najodważniejszych i posiadających najwięcej charakteru dokerów w całym Sydney. Niejeden z takich, co byli więcej wariaci od niego, starego Mac’a, szli za Stanem w ogień, nie pytając o nic. Mac od razu zrozumiał, o co w tym wypadku chodzi. Dusza starego Irlandczyka uradowała się co niemiara.

CIĄG DALSZY NA STR. 23

# FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

## POD WODAMI BIAŁEGO DUNAICA

Gdy w lipcu i sierpniu w Warszawie była piękna, upalna pogoda — na południu kraju padały obfite deszcze. Wezbrały potoki górskie, a wody Czarnego i Białego Dunajca zalały okoliczne te-

reny. I choć, na szczęście, nie spowodowały ofiar w ludziach i strat w inwentarzu — wyrządziły wiele szkód: zalały pola ze zbiorami, łąki i lasy, uszkodziły drogi. W. Kuźmiński, Nowy Targ

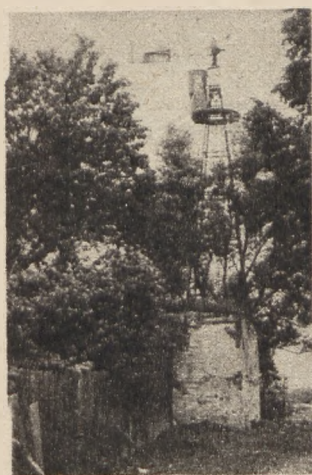


W parku w Nowym Targu.



Pod Chabówką woda podmyła nasyp drogowy.

## CHROŹMY LASY OD POŻARU



Pożar w lesie rozszerza się z wielką szybkością i jest trudny do opanowania. Zwyczajnie w takiej akcji biorą udział: straż pożarna, miejscowa ludność i wojsko.

Najważniejsze w ratowaniu lasu jest szybkie spostrzeżenie pożaru i stłumienie go w zarodku. Ale widoczność w gęstym lesie wynosi zaledwie kilkanaście metrów i obserwacja w tych warunkach jest niemożliwa. W Wielkiej Wsi w woj. poznańskim wybudowano w tym celu specjalne wieże obserwacyjne, górujące ponad lasem. W budce na wierzchołku wieży jest telefon, termometr, przyrządy do mierzenia siły i kierunku wiatru. Dyżurujący w niej obserwator ma więc doskonałe warunki, umożliwiające zapobieganie pożarom lasów.

A. Chomicz, Wolsztyn

## ARTYSTYCZNE BRAKORÓBSTWO

Kupiłem znajomej w upominku piękny wazon — ceramiczny. Choć wyroby CPLiA cieszą się dobrą reputacją, wazon obejrzałem dokładnie.



Cóż z tego, że ładny, kiedy płać psikusy.

nie, na wszelki wypadek opukałem, by sprawdzić, czy nie ma jakiejś ukrytej wady. Zapłaciłem 25 zł i zadowolony obdarowałem solenizantkę. Ucieszyła się bardzo.

Po paru dniach znajoma — kiedy spotkałem ją na ulicy, powitała mnie wręcz chłodno. Okazało się, że owym pięknym prezentem naraziłem ją na poważne straty. Woda z wazonu wyciekła, zniszczyła szafę, na której stał, przedostała się do wnętrza i poplamiała białynę.

Na moją reklamację w CPLiA odpowiedziano, że wazon trzeba było wpiąć napelniać mlekiem i poczekać aż się zsiądzie. Dopiero wówczas można nalewać wodę.

Wydało mi się, że słuszniej byłoby — jeśli już trzeba z wyrobami ceramicznymi wyczyniać takie cuda — przynajmniej uprzedzić o tym klientów i nie narażać ich na straty.

J. Jankowski, Olsztyn

## BADAMY ŹRÓDŁA WISŁY



Renata Troll i Krystyna Gaweł dokonują pomiarów szybkości przepływu wody w Białej Wisłce. ...Potem badają profil koryta rzeczki.

## WARTO NAŚLADOWNICTWA

Przedsiębiorstwo Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” w Poznaniu uruchomiło ostatnio taki oto auto-kiosk.

Auto-kiosk jeździ po peryferiach miasta, gdzie stałe

punkty sprzedaży prasy są jeszcze nieliczne.

Jak wynika z dotychczasowych obserwacji, ten ruchomy punkt sprzedaży spotkał się z wielkim uznaniem społeczeństwa.

R. H. — Poznań



## „LEKTORY” MIKROFILMÓW

Centralny Instytut Dokumentacji Naukowo-Technicznej w Warszawie jest jedyną placówką naukową, sporządzającą tematyczne zestawienia dokumentacyjne na użytek inżynierów i techników oraz osób interesujących się zagadnieniami technicznymi.

Zestawienia te obejmują przede wszystkim publikacje naukowo-techniczne literatury światowej.

Pełna dokumentacja ukazuje się w postaci kart dokumentacyjnych.

Należy podkreślić, że CID-NT przyjmuje prenumeratę kart dokumentacyjnych, która może obejmować całą dokumentację naukowo-techniczną jak i oddzielne jej działy lub poszczególne zagadnienia i tematy techniczne.

CIDNT prowadzi poza tym

Któregoś lipcowego dnia pod szczytem Baraniej Góry pracownicy Uniwersytetu Jagiellońskiego i młodzież z Pałacu Młodzieżowego w Stalinogrodzie rozłożyli spory obóz. Nie był to jednak obóz wypoczynkowy; jego uczestnicy przybyli tu, by dokonać badań naukowych.

Każdego przedpołudnia grupki młodzieży zaopatrzone w odpowiednie przyrządy i instrumenty dokonywały pod kierunkiem pra-

cowników naukowych pomiarów źródeł Wisły.

Była to praca odpowiedzialna, wymagająca wielkiej sumienności, tym bardziej, że odbywała się w trudnych warunkach atmosferycznych. Młodzież stalinogrodzka była jednak bardzo zadowolona z obozu: spędziła przyjemnie kilka tygodni w pięknej okolicy i pomogła w pożytecznym i ważnym zadaniu pracownikom Uniwersytetu Jagiellońskiego.

J. Zubik, Stalinogród

## CZY NIE MA NA TO RADY?

Spróbuj w sezonie letnim popłynąć statkiem choćby z Gdyni do Jastarni czy Helu. Zaraz dowiesz się w kase, że wszystkie bilety wykupione przez jakąś wycieczkę. I że z tego powodu biedni kasjerzy muszą wysłuchać złorzeczeń od niedoświadczonych pasażerów...

Najbardziej nie są stali mieszkańcy Helu czy Jastarni, którzy wybrali się coś zafatwić w Gdyni. Do Gdyni oczywiście dostaną się, ale z powrotem? Zegluga nie sprzedaje biletów powrotnych, a normalne — tylko na godzinę przed odejściem statku. Jeżeli zostały wykupione przez wycieczkę, nie pomoże wtedy ani dowód zameldowania, ani delegacja służbowa. Rozkład jazdy pociągów natomiast jest uzupełniony rejsami statków i słusznie — każdy woli przecież jechać statkiem, bo to przynajmniej prędzej i czystiej.

Nie twierdzą, oczywiście, że należy ograniczyć ilość wycieczek, ale wydaje mi się, że przy dobrej woli znalazłaby się na to rada. W dni świąteczne można byłoby zorganizować jakieś holowniki Marynarki Handlowej czy nawet łodzie desantowe. Ponadto zwiększyć częstotliwość kursów, a więk-



Zeby tak pojechać nim na Hel... — marzy niejedyn z turystów.

sze jednostki kierować na bardziej przeciążone linie, by je maksymalnie wykorzystać. Można także wystąpić do PKP, by nie liczyły na statki, ale same obsługiwały trasę Gdynia — Hel.

S. Sobociński, Warszawa

centralną kłótekę czasopism technicznych oraz dział tłumaczeń obcojęzycznych.

Do ciekawych usług CIDNT należy przenoszenie publikacji, nierzadko „białych kruch”, na mikrofilm.

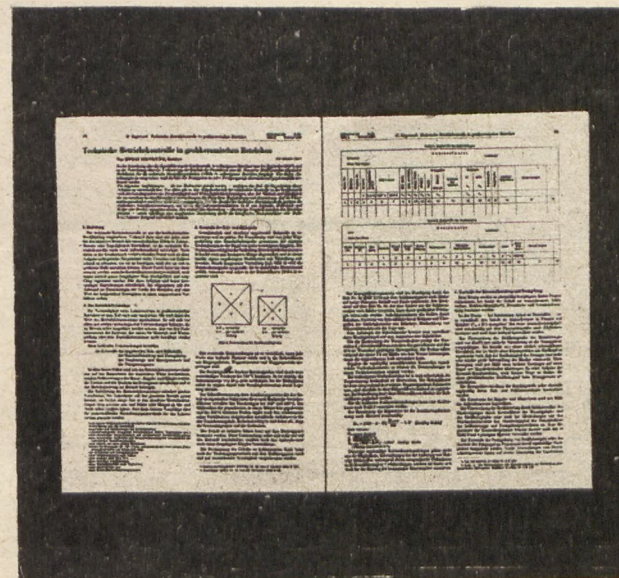
Taśma mikrofilmowa, przechowywana w małych metalowych lub bakelitowych pudełkach, jest rozsyłana wg odpowiednich zamówień do placówek badawczych itp. Ten praktyczny sposób sze-

zenia postępu technicznego nabierze większego rozmachu już w roku przyszłym, w początkach roku 1956, kiedy to rozpoczniemy krajową produkcję aparatów do odczytywania mikrofilmów, tzw. „czytników” (słowo niezbyt piękne) lub „lektorów”, według projektu opracowanego przez Centralny Instytut Dokumentacji Naukowo-Technicznej w Warszawie.

W. Świdorski



„Czytnik” służący do odczytywania mikrofilmów.



Odbitka powiększonej kliszy mikrofilmu z publikacji niemieckiej.

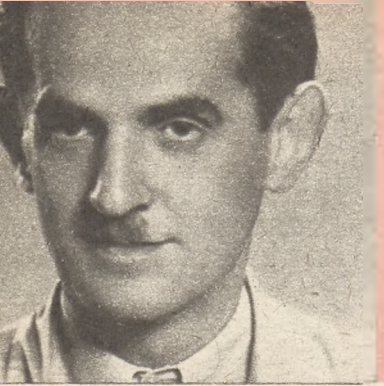
# FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ

## BEZKRWAWE ŁOWY Z LAMPĄ ELEKTRONOWĄ

Uchwycenie na kliszy interesujących momentów z życia ptaków należy do nader trudnych, lecz wdziecznych i pasjonujących problemów techniki fotograficznej. Jeszcze trudniejszym zadaniem jest fotografowanie ptaków nocnych. Przekonał się o tym na „własnej skórze” fotograf szwajcarski, Werner Haller, który przez trzy lata próbował uchwycić aparatem moment przylotu do gniazda samicy puszczyka. Ruchy ptaka były zbyt szybkie, aby o zmroku można było uzyskać ostre zdjęcie. Dopiero zastosowanie lampy elektronowej stworzyło teoretycznie możliwości wykonania tego zdjęcia. Powstała jednak nowa trudność: ptak był zbyt szybki, niż refleks fotografa, który nie zdołał nigdy w odpowiednim momencie nacisnąć wyzwalacza migawki, sprężonej z lampą błyskową. Na zdjęciu widać było zawsze jedynie albo część skrzydła, albo kawałek ogonka. Puszczek nie chciał pozować do fotografii...

Trzeba było zbudować skomplikowane urządzenie. W tym celu brzeg dziupli wyłożony został metalową folią, zamaskowaną farbą imitującą korę drzewa. Z folią połączony był jeden kabel — drugi zakończony pętkiem cienkich drutów miedzianych, które ułożone były misternie nad folią, tak, iż nigdzie jej nie dotykały. Prąd do urządzenia wyzwalającego migawkę dostarczał akumulator samochodowy. Uzbrojony w teleobiektyw „Robot” i sprężona z nim lampa elektronowa, ustawione były w pobliżu dziupli. Gdy ptak siadał na brzegu dziupli, czepiał się pazurami folii, przyciskał jeden z drutów, zamykając w ten sposób obwód elektryczny i jednocześnie wykonując własne zdjęcie. Niezwykłe silny i trwający zaledwie 0,1/10.000 sek. błysk lampy elektronowej pozwolił na wykonanie interesującej serii zdjęć, które zamieszczone były w szwajcarskim miesięczniku „Camera”.





Urodzony w Warszawie w 1911 r. Debiut w warszawskim tygodniku satyrycznym „Kolce” w 1926 roku. Od 1929 roku praca dziennikarska. Książki wydane po wojnie: „Proszę o przyjemny wyraz twarzy” (humoreski, fraszki, wiersze sat.), „Nowodulscy” (powieść satyryczna), „Dla każdego coś ciekawego” (wiersze i fraszki), „Oknem satyryka” (skecze), „Satyryk w terenie” (wiersze i humoreski). Poza tym kilka książeczek dla dzieci, m. in. „O kaczkę, która kaszkę warzyła”. W r. 1951 nagroda za większy utwór satyryczny w Konkursie Z.L.P. i Min. Kultury i Sztuki. Utwory drukowane w wielu dziennikach, przeważnie krakowskich, oraz w czasopiśmie: „Szpilki”, „Życie Literackie”, „Świat”, „Przekrój”, „Teatr”, „Sport”, „Pióro” i wiele in. Skecze i monologi dla teatrów satyrycznych.



Ciężka jest dola  
Kompozytora,  
Kiedy go twórczość  
Dusi jak zmore.

Inny się wyśpi,  
Popije, podje,  
A on wciąż musi  
Tworzyć melodie.

Co skomponować?  
Dręczy go trema,  
Bo weny jakoś  
Nie ma i nie ma!

A tu do pracy  
Biedaka gonią,  
Jedni listami,  
A inni dzwonią.

Dzwonią od rana  
I szepczą w uszko:  
— Przecież pan jesteś  
Nowy Moniuszko!

A inny krytyk  
Kusi od rana:  
— Chcemy mieć swego  
Chaczaturiana!

A jak tu zostać  
Chaczaturianem,  
Skoro pomysł się —  
Ale znane...

Więc późną nocą,  
Gdy miesiąc świeci,  
Zonka zasnęła  
I chrapią dzieci —

Nasz kompozytor  
Na falach krótkich  
Łowi zza granic  
Nie swoje nutki...

Uszczknij coś z Wiednia,  
Uszczknij coś z Pragi,  
Z Moskwy dorzuci  
Dla równowagi.

I stąd szaberek,  
I stąd szaberek —  
Aż się szaberkę  
Ustawią w szereg.

I z radiowymi  
Tymi wstawkami  
Powstanie nowy  
Taniec z szabrami!

## POTĘGA PIEŚNI

— A, a, kotki dwa, szare, bure obydwaj! Nic nie będą robiły, tylko Stasia bawiły! — śpiewała pani Poziomkowska, bujając na rękach swego rozwrzeszczanego synka.

Ale synek nie dał się zbijać tak łatwo... Krzyczał wytrwale i potężnie.

— A, a, kotki dwa, śpijcie wreszcie, obydwaj! — śpiewała młoda mamusia coraz bardziej zdenerwowana.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wszedł mężczyzna okaleczonego wzroku. Miał minę wielce ponurą.

— Gdzie byłaś wczoraj między szóstą a dziewiątą wieczorem? — krzyknął mężczyzna.

— A, a, kotki dwa, nie budźcie, obydwaj! — zaśpiewała pani Poziomkowska, wyraźnie zmieszana.

— Mów, gdzie byłaś? — wrzeszczał mąż na całe gardło.

Kobieta dawała rozpaczliwe znaki, wskazując głową na krzyczącego potomka.

— A, a, kotki dwa, czego się drzesz, chcesz, żeby dziecko, a, a, kotki dwa, dostało ataku ze strachu? Obydwaj!

— A, a, kotki dwa, musimy się porachować, szare, bure obydwaj! Nic nie będą robiły, dostałem anonim, szare, bure, a, a, co ty na to, tylko Stasia bawiły?

— A, a, głupi jesteś, szare, bure... — Kto wierzy anonimom, obydwaj?

— Powiedz, kto, szare, bure kotki dwa?!

— Nie krzycz tak, dziecko, a, a, obudzisz, szare, bure...

— Ja krzyczę? A, a, szare, bure, kapitalne, kotki dwa! W tej chwili ktoś załomotał do drzwi.

Mężczyzna otworzył drzwi. Na progu ukazał się starszy jegomość z bródką.

— Do diaska! Czy państwo powarliwali? Spać nie można! Wrzeszczycie, jakby się paliło!

— A, a, — zagłuszyła sąsiada rozpaczliwym śpiewem Poziomkowska. — Kotki dwa, szare, bure... Proszę nie budzić Stasia, już, a, a, zasypiać aniołek... Co za gbur! Nic nie będą robiły, tylko Stasia budziły!

— Ja, gbur? — oburzył się brodaty sąsiad.

Ale widząc błagalne miny małżonków — nagle zaśpiewał fałszywym barytonem:

— A, a, kotki dwa, to jest granda po prostu... Szare, bure... Ja też chcę, a, a, spać! Nic nie będą robiły, tylko sąsiadów budziły, a, a, chuligani obydwaj!

Tata poczuł się obrażony.

— Kotki dwa! — ryknął. — Sam pan szary, bury, chuligan, a, a!

— A, a, panowie, dajcie spokój, po co ta kłótnia, a, a, obydwaj! — mitygowała zacietrzewionych mężczyzn młoda kobieta.

— A, a, kotki dwa — śpiewał sąsiad z pianą na ustach — ja sprowadzę milicjanta, szare, bure obydwaj!

Do drzwi dobijali się inni sąsiedzi.

Wkrótce połowa mieszkańców bloku darła się ochrypłymi głosami:

— A, a, kotki dwa, zamknij gębę, obydwaj! To jest skandal, szary, bury, kotki dwa!

Wreszcie posłano po straż ogniową...

Strażacy, pakując przez okno węża parcianego do mieszkania Poziomkowskich, śpiewali chórem:

— A, a, kotki dwa, szare, bure, obydwaj! Teraz lu na tego faceta z bródką!... A, a, kotki dwa!...

FRASZKI

NAGROBEK SATYRYKA

## NA NIECHLUJNE GOSPODY

To nam życia nie upiększa,  
Kiedy porcja o włos większa!...

## O GUSTACH

Jeden lubi wachać róże,  
Drugi woli piwo duże.  
Stąd przysłowie wzięło się:  
„De gustibus...” — itd.



Gdzie mógł — stare dowcipy  
Zawsze sprytnie wkręcił:  
Że pamiętał najstarsze —  
Cześć jego pamięci!

## ZAKOCHANY W „KOCIAKU”

Czytał w jej myślach  
I stał się ponury:  
Oto są skutki  
Nudnej lektury!



## BEZ LAKIERNICTWA

Od dziesięciu lat jestem pilnym słuchaczem radia. I to Polskiego Radia. I to audycji słownych!

Od noszenia ciężarów wyrabiają się bicepsy, od słuchania wyrabiają się uszy. Każdy może łatwo się przekonać, że rzeczywiście pilnie słucham radia...

Z politowaniem patrzę na bliźnich, którzy wolą posłuchać banalnej muzyki z Monte Carlo niż pożytecznego odczytu rolniczego. Cóż oni, biedacy, wiedzą o zimnym chodzie cieląt? Nic! A ja wiem! Czyż oni, nieszczęśni, domyślają się nawet, jakie korzyści daje uprawa rzepaku i co na ten temat powiedział stary spółdzielca przedstawicielowi Radia?! Nie domyślają się!

Pelen entuzjazmu słucham wspaniałe przygotowanych audycji, skrzących się śmiałym dowcipem, subtelną ironią, a zwłaszcza szlachetną odwagą. Ileż w nich śmiało krytyki! Szczególnie w stosunku do kulałów. Raz nawet całkiem otwarcie powiedziano, że pewien chłop, chociaż małorolny, napił się wódki. To rozumiem! Tu się nie obwija w bawełnę! Kawę na ławę! Prosto z mostu! Ciach go paluszem!

Toteż ucieszyłem się ogromnie, gdy kierownik literacki rozgłośni zaprosił mnie do swego zacisznego gabinetu i bez dłuższych wstępów zamówił u mnie audycję. Pogodną audycję. Taką z życia.

— Tylko, drogi kolego — powiedział — bez lakiernictwa, proszę ja was! Nie znosimy przesłodzonych banałów.

— Ja też! — zapewniłem. — A co to ma właściwie być?

— Niech pan napisze jakieś opowiadanie.

— Jakiego rodzaju? — spytałem z zainteresowaniem.

— Pogodne. Ale, uważacie, pozytywne! — dodał.

— W jakim sensie?

— W takim sensie, żeby napawało słuchacza otuchą. Żeby słuchacz był napawiony... Nie! Żeby był napawiony... No, krótko mówiąc, żeby go napawało, jak powiedziałem! Dość mamy bepciowej satyry, chcemy pozytywnych

obrazków, nie pozbawionych dowcipu. Uważa kochany kolega?

— Rozumiem — odparłem z powagą.

I chcąc, żeby to zamówienie mnie również napawało otuchą, spytałem półgłosem:

— Ile?...

Kolega wymienił pewną kwotę, ja wymieniałem wyższą, kolega po namyśle kiwnął głową, myśląc w duchu, że mnie kiwnął — więc pożegnałem się uprzejmie i poszedłem do domu pisać opowiadanie.

Nazajutrz zjawiłem się w redakcji działu literackiego.

— Jest — oznajmiłem.

— Pozytywne opowiadanie?

— Zdecydowanie pozytywne.

— Napawa?

— Skinałem głowę.

— Bez lakieru?

— Kompletnie bez! — zapewniłem i podałem maszynopis.

Kolega zaczął czytać:

„Stary zacny robotnik, Bartłomiej Krepisz, wrócił rozpromieniony do swego nowego mieszkania, w którym nie było ani jednej usterki, ponieważ brygada murarska w swoim czasie podjęła odpowiednie zobowiązanie.

— Coś ty taki wesoły, Bartuś? — spytała go żona, stara zacna kobieta imieniem Małgorzata.

— He, he, udało mi się wykonać w tym miesiącu czterysta procent normy! — zawołał ochotczy Bartłomiej — Jak tak dalej pójdzie, to w przyszłym miesiącu pobiję rekord i będę prowadził we współzawodnictwie pracy!

— To świetnie! — zawołała Małgorzata i czystym fartuchem otarła łzę z pocziwego oka.

— To jeszcze nic! Wyobraź sobie — wpaść mi!

— Kto, Bartuś?

— Pomysł racjonalizatorski do głowy! Nasza fabryka zaoszczędzi rocznie pół miliona!

— A tobie ile dadzą za to?

— To drobiazg! — machnął lewą ręką Bartłomiej. — Ty wiesz, że ja nie dla siebie pracuję, jeno dla tej ukochanej fabryki, która jest naszą wspólną, hej!

Tu Bartłomiej poglądził Małgorzatę chropowatą dłonią, która niejedno przeżyła i niejedno widziała.

— A teraz dawaj obiad! — powiedział rubasznie.

Krepiszowa zakrzętała się żywo i po chwili przed dzielnym Bartłomiejem postawiła codzienny posiłek, złożony z połówki pieczonej kaczki z jabłkami, z frytkami i brukselką.

— Ciągłe tylko kaczka albo indyk... — mruknął Bartłomiej z niezadowoleniem.

— Mogłabyś raz zrobić kartoflanek albo krupnik!

— Nie na tym etapie, Bartuś! — odparła Małgorzata, ubierając krem biskoptami.

Po chwili Bartłomiej, ocierając spracowane usta czystą serwetką, zaproponował:

— A może oblejemy dzisiejszy pomyslny dzień? He, jak sądzisz?

— Chcesz się napić wódki?! — zawołała Małgorzata ze zgrozzeniem.

— Ależ skąd! Napijemy się lemoniady, to najlepszy napój! Na wódkę nie mogę po prostu patrzeć. Zresztą nikt w naszej fabryce nie bierze do ust tego paskudztwa! Był wprawdzie jeden taki, ale od razu domyślił się, że to imperialista i rzeczywiście okazał się szpiegiem. No co, napijemy się, moja duszko?

W tej chwili kierownik działu literackiego przerwał czytanie.

— No, kolego, tu się pan zagalopował! — zawołał z niesmakiem — Tego nie możemy puścić na antenę!

— Ja też tak sądzę — odparłem z uśmiechem. — To był tylko żart...

Redaktor zdawał się nie słyszeć mego wyjaśnienia.

— Pan przesadził... — mówił z niezadowoleniem.

— Oczywiście! A co panu wydało się najbardziej nieprawdopodobne?

— Co?... No, jasne, że ostatnie zdanie! Czy pan słyszał kiedy, żeby stary robotnik mówił do swej żony: „moja duszko”? To trzeba zmie-

nić — no, powiedzmy — na: „moja stara”. A poza tym — wszystko w porządku! No, czytamy dalej!...

# Notatnik zapaleńca

## Przygody troskliwej mamusi

**W**SZYSCY mieliśmy chyba sposobność zaobserwować takie nadtroskliwe mamusi: pchają w dziecko słodycze, soczki, witaminy, kompoty, lekarstwa i narzekają, że pociechy nie mają apetytu. Pieszczą je ponad miarę, a kiedy mały zbroi, kiedy popisuje się repertuarem wyrazów — winne jest temu dziecko sąsiadki. Nadtroskliwość ta najczęściej wyrządza dziecku krzywdę. Albo wyrasta z niego drań bez skrępowań (bardzo logicznie przedstawia to Balzac w „Kawalerskim gospodarstwie”), albo, człowiek słabej woli, kapryśny, odhartowany, nie przygotowany do twardych wymogów życia.

Kiedy się obserwuje wloty i upadki naszej braci zawodniczej, mimo woli przychodzi na myśl pytanie, czy polskie wład sportowe nie odgrywają roli takiej troskliwej mamusi? Czy nie opiekują się za bardzo? Czy nie rozpieszczają? Czy rozkochane oczy nie są zaślepione na braki swoich pociech? Czy naprawdę zawsze winni są „zli koledzy”, wiatr boczny, nieodpowiednie smary, miękkie boisko, złe dętki, białe noce, pasta do zębów, twarde bułki, starter, piąte koło u wozu, niesmaczna wódka etc?

Troskliwa mamusia pędzi swoje dzieci z uzdrowiska na uzdrowisko: zimą w góry, latem nad morze, wiosną do lasu, jesienią na wieś. I soczki, soczki, soczki... A dziecko ma dość! Dziecko tupie nogami. Dziecko nie jest już dzieckiem! Jest dorosłym człowiekiem. Spójrzcie na jego owłosione nogi! Żona, dzieci, rodzina. Dajcie mu pożyć w gronie i na łonie! „Nie róbcie małych sierotami dzieci i młodej małżonki wdową”. Wypowiedź ta jest zupełnie autorytarna, bo autor jej był zapalonym jeźdźcem, dobrym pływakiem i czołowym polskim alpinistą.

„Przesyt” — oto słowo, które pojawiło się ostatnio w prasie. Powtarzają je często trenerzy, powtarzają wodnicy i dziennikarze. Chlebem się człowiek nie przesyci. Troskliwa mamusi, znowu się zagalopowałaś?

Opieka, którą nasze władze sportowe rozciągają nad zawodnikami, nie jest może taka nadzwyczajna. Rzecz w tym, że idzie ona w niewłaściwym kierunku. Powinniśmy umożliwić każdemu chłopcu i każdej dziewczynie, korzystanie ze sprzętu, z opieki trenera i lekarza. Powinniśmy organizować spotkania z silnymi przeciwnikami zagranicznymi, czasem urządzić jakiś obóz szkoleniowy czy kondycyjny. Ale, na miłość boską, nic więcej! Nie należy bynajmniej do tych, którzy twierdzą, że trudne warunki materialne są najsilniejszym bodźcem do pracy. Tak myślą tylko w CUW-ie. Ale nie sądzę, że opieka nad kadrą powinna zezwalać zawodnikom na bycie na uzdrowiskach. To byłaby opieka niemądrej mamusi. Mądra mamusia będzie dbać o to, żeby umożliwić swemu wychowanekowi normalną pracę, normalne studia, normalne warunki życia rodzinnego. I wychowanek będzie jej za to wdzięczny.

Niektórzy zawodnicy wprost skarżą się na to długotrwałe odrywanie od domów. Zygmunt Buhl, w okresie, gdy był jeszcze jednym z najlepszych polskich sprinterów, zwierzył mi się: „Ja, żeby być w normalnej kondycji, muszę mieć swoje normalne warunki życiowe. Muszę się codziennie rano tłoczyć do tramwaju, potem pracować, potem trenować. Sport jest dla mnie częścią dnia powszedniego. Kiedy mnie się od tego odrywa — tracę formę”.

Słowa te padły przed dwoma laty, kiedy sprawy te nie były jeszcze dyskutowane. Zauważ, że wówczas o tym nie napisalem. Przyspieszyłoby to może dyskusję, która, jak się wydaje, wyraźnie dojrzewa.

Z rozważań tych wynika, że całe zagadnienie ma dwa oblicza. Jedno — sportowe. Zawodnicy, którzy mają trudne warunki dojrzywania, dochodzą do wyników nie gorszych niż ci, wokół których kręci się dziesięć niań. Przykładem Staszek Marusz, który na początku swej kariery skakał czasem w pożyczanych butach. Albo Polaty z Francji — najlepsi piłkarze i czołowi kolarze tego kraju. Albo nasz Józef Noji, o którym tak mało się pamięta; a przecież ten chłop pęchowski, potem tramwajarz warszawski — to piękna sylwetka sportowca. Albo Murzyni amerykańscy, których głównym atutem w stosunku do białych rywali jest — pracowitość. I przykłady negatywne: piłkarze CWKS, którzy przegrywają z drużynami o mniejszych umiejętnościach, ale o większej ambicji i patriotyzmie klubowym; polscy kolarze, którzy dobre pół roku spędzają na obozach: jedne obozy mają na celu dochodzenie do formy, drugie — szczyt marnotrawstwa! — trawienie jej. Zupełnie jakby ci dorośli mężczyźni nie mogli „tracić formy” w domu, przy pracy, na koszt własny, według recepty ustalonej przez trenera państwowego czy trenera koła. I potem się dziwić, że są zawodnicy, którzy uciekają ze zgrupowań.

Jeszcze ważniejsze wydaje mi się oblicze moralne zagadnienia. Sport daje mnóstwo satysfakcji: rozkosz zwycięstwa, sławę, możliwość walki, sposobność do zwiedzenia świata, o jakiej się ludziom, bardziej od sportowców do tego powołanym, nawet nie śni. Trzeba, żeby te wszystkie nagrody przypadły ludziom za rzeczywiste zasługi: za sumienną pracę, za upór, za hart, za wyrzeczenia, za inteligencję. Trzeba, żeby ludzie obdarzeni talentem byli też obciążeni większą odpowiedzialnością osobistą. Trzeba, żeby nasze barwy były reprezentowane nie przez kapryśnych pieszczochów, ale przez zawodników, którzy poczytują to sobie za zaszczyt i cel życia.

Mamusi, popraw się!

**SWIAT**
*o tym wie!*

## ICH ROCZNICA



Wrzesień 1939: Kogo „bronili” hitlerowcy na polskiej ziemi?

Pamiętny wrzesień 1939 roku wspominany jest (z łezką w oku) przez dawne hitlerowskie żołdactwo, chełpiące się pokonaniem wojsk polskich i ruiną polskich miast i wsi. 10 i 11 września br. w miejscowości Neumuenster (prowincja Szlezwik-Holsztyn, Niemiecka Republika Federalna) ma się odbyć zjazd hitlerowskiej 30-tej dywizji piechoty dla „upamiętnienia najcięższych dni dywizji w roku 1939 w Polsce, kiedy to w walkach obronnych zapłaciła ona najwyższą daninę krwi”.

## STORPEDOWANA USTAWA

Wśród wielu wzmianek jednego z ostatnich numerów amerykańskiego tygodnika „Time” znajdujemy jedną, z której wynika, iż ostatnio w Japonii odrzucony został przez parlament już szósty z kolei (od czasów wojny) projekt ustawy, która ograniczyć miała chociażby rozwijającą się „wspaniale” w japońskich miastach (pod amerykańskim protektorem) prostytucję. Tygodnik „Time” stwierdza, iż obecnie około pół miliona japońskich kobiet trudni się, przeważnie z nędzy, tym „zawodem”. W porównaniu z okresem sprzed kilku lat ilość ta wzrosła o jedną trzecią. Największym ogniskiem tego procederu jest dzielnica Josziwara w Tokio (na zdjęciu). Projekt wspomnianej ustawy — nadmieniam dalej „Time” — ograniczałby w pewnym sensie zwyczaj amerykańskich żołnierzy. Ten czynnik przeważał.

## WYSZKOLENIE TECHNICZNE

Uczeń „Szkoły Nr. 1 Wyszakowania Technicznego Królewskich Sił Lotniczych” — Brian Edward Holland (na zdjęciu) wystąpił z protestem w imieniu swoim i 9 innych kolegów. Byli oni zmuszani przez oficerów do uczestniczenia w przebraniu w zabawach; kiedy występowali jako lokaje, dostawali nawet po 10 szylingów zapłaty. Członek Izby Gmin — Dennis Howell zapowiedział interwencję z żądaniem wszczęcia śledztwa w tej niecodziennej sprawie...



Panowie oficerowie kazali podawać...

## GRUBY, NIE STRASZI!



Od czasu do czasu były król Egiptu, Faruk, zwołuje paryskich dziennikarzy, rzuca pogroźki pod adresem rządu egipskiego, daje (delikatnie) do zrozumienia, że wróci na tron, z którego został wypędzony — po czym wraca do swych (codzien-

nym) zajęć. Nasze zdjęcie przedstawia właśnie dzień powszedni Faruka. Powinno być „noc powszednia” — ale czy to ważne? Grunt, że za pieniądze wyciśnięte przed laty ze swych poddanych — grubas może jeszcze się bawić i... straszyc!



## KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ...

... gdyby:

- 1) Nie był analfabeta
- 2) Umiął po angielsku
- 3) Mógł sobie przeczytać wypociny pani Ann Su Cardwell, straszającej czytelników amerykańskiego tygodnika „The Saturday Evening Post” ponurą wizją prześladowań kościoła katolickiego i protestanckiego w Polsce. Włosy jeżą się ze strachu, kiedy się czyta o tych okropnościach, którymi kieruje — jak bez mrugnięcia okiem zapewnia autorka — „Ministerstwo Spraw Religijnych”.

Pani Cardwell demaskuje najbardziej perfidną metodę walki z religią w Polsce:

„Aby zniechęcić do chodzenia do kościoła, urządza się coraz więcej niedzielnych wycieczek, imprez sportowych i rozrywek”.

Wszystko już wiemy — dzięki docieklowości amerykańskiej dziennikarki: 1) Wycieczki, mecze i wszelkie rozrywki najlepiej urządzać w dni powszednie 2) Najlepiej

przywrócić stan sprzed wojny, kiedy to jasnie państwo jeździło na Riwierę, chamstwo zaś pracowało w świątek i piątek, i żadne wycieczki czy rozrywki nie były im w głowie...





Stłukł się nocniczek. Pociecha mówi, że to wina tatusia, ale tatusia wypiera się z całą stanowczością. Nie wiadomo, kto ma rację (między nami mówiąc, zdaje się, że ona), ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszy jest stan faktyczny — nie ma nocniczka, a pociecha inaczej nie umie i grozi strajkiem. W domu dramat, państwo mogą sobie wyobrazić.

— Trzeba kupić nowy — mówi tatus.

— Nie trzeba było tuc — mówi mamusia.

— Pocebulam kupkę! — woła dziecko.

Udano się więc czym prędzej na poszukiwania. Mamusia oświadczyła zaraz na wstępie, że o szklanym więcej mowy nie ma.

— Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby tak się stłukł w krytycznym momencie? Przy jej temperamencie wszystko jest możliwe. Musimy znaleźć blaszany.

Znaleźli nadspodziewanie szybko, bo już na Puławskiej. Stał najspokojniej w świecie na wystawie, rzekłbyś — czekał na nabywców.

— Mamu, piękno, może to ostatni! — przynagliła pociecha.

Nie był, o dziwo, ostatni. Stał na półce rzędem, jeden koło drugiego, niebieskie i zielone, nieoczekiwanie dostępne.

— A szczęście jest tak blisko — zaśmiała się radośnie mamusia i poprosiła sprzedawcę o ten zielony.

Nie darmo jednak sceptycyści filozofowie wątpili w osiągalność szczęścia na ziemi.

— A szmaty pani przyniosła? — zagrzynał sprzedawca.

— Jakże szmaty, proszę pana?

— Przecież u nas tylko na wymianę, za szmaty.

— Ojej, a skąd ja je panu wezmę?

— To już nie moja rzecz. Jak pani nie ma, to niech pani idzie do Domu Dziecka.

— Ale tam są tylko szklane, a...

— Trudno, proszę pani, jak się chce mieć dobry, trwały towar, to tylko na wymianę.

— Jak za króla Cwiczka — burknął tatus, który tymczasem pilnie studiował cennik. — Zaraz, zaraz, to ile by trzeba było tych szmat?

— To — dwanaście z groszami, szmaty mniej więcej po trzy złote za kilogram... Ze cztery kilogramy, co?

— Nie, proszę pana. My wymieniamy na towar tylko połowę dostarczonej przez klienta szmat, a za połowę płacimy gotówką. Musiałby pan przynieść przeszło osiem kilogramów.

— Pan wybacz, ale ja nie jestem spółdzielnią krawiecką. Pan już widział normalnego człowieka, który miałby w domu osiem kg szmat?

— To niech pan kupi od szmaciarza.

— Panie, niech pan mnie nie wyprowadza z równowagi. Po to sprzedaje się szmaty szmaciarzowi detalicznie, żeby je potem od niego odkupywać hurtem w celu wymiany za głupi nocnik? I to ma być handel socjalistyczny?!!!

— Niech się pan nie denerwuje, proszę pana. My już to wszystko znamy. Jak w sklepie nie było misek ani garnków emaliowanych, tośmy mieli do pięćdziesięciu takich awantur dziennie, a przy dużym ruchu nawet i więcej. Teraz, na szczęście, to już przeważnie tylko o te „naczynia”.

Wyszli ze sklepu strasznie źli.

— Rozumiesz — perorował tatus — ile kosztuje utrzymanie tych wszystkich sklepów, tego całego personelu, całej tej niepotrzebnej biurokracji? Przecież wymiana jest właściwie fikcją. Towary na wymianę może otrzy-

mać w praktyce tylko szmaciarz zawodowy, który z kolei sprzedaje je na bazarze po cenach dowolnie wystrubowanych. A na punkty skupu odpadków nie trzeba zajmować sklepów od ulicy, których i tak ciągle u nas za mało, wystarczyłoby kilka oświeczonych magazynów.

— Bardzo to wszystko słuszne, mój kochany — przerwała mamusia głosem z lekką zniecierpliwioną — ale musimy przecież pomyśleć, jak zdobyć ten nieszczęsny nocniczek.

— Słuchaj! Mam zupełnie genialną myśl! Przecież Zosia pracuje w spółdzielni krawieckiej. Oni mają na pewno mnóstwo różnych skrawków i szmatek. Mogą wymienić, a my im zwrócimy równowartość.

— Ależ, moi kochani! — powiedziała ciocia Zosia już po pierwszych słowach mamusi — to jest wykluczone. Wyobraźcie sobie, że w czasie nieobecności kierownika zrobiłam taką wymianę, bo potrzebowałam nocniczek dla Jasli, ale kierownik kazał natychmiast oddać, bo spółdzielnia nie wolno przeprowadzać żadnych transakcji nie związanych bezpośrednio z usługami krawieckimi. Proszę, możecie zobaczyć — tu ciocia Zosia otworzyła drzwi gabinetu.

Na stole stał oryginalny wazon z mieczykami. Uszko schowane było dyskretnie pod kolorową kokardą z biłucki.

— Ciociu Zosiu! — zawołało nagle dziecko — pocebulam kupkę, daj to!

— Mowy nie ma, lalenko, chodź ze mną, to...

— Nie pójdę, chcę na nocniczek!

— Dziecko musi, Zosiu! — próbował interweniować tatus — lepiej daj, bo może być katastrofa.

— O Boże, co robić? No masz, tylko przedko, bo jak kierownik przyjdzie...

— Na pewno zrozumie — pocieszyła mamusia — przecież też ma dzieci.

— A ci, co zarządzają, żeby nocniczki szły na wymianę za szmaty, nie mają dzieci? Też mają. I co z tego?

W związku z listem Ireny Dobrzańskiej (Świat nr 33 z 21.8.55 r.) otrzymaliśmy wyjaśnienie Aliny Janowskiej, która w imieniu własnym i kolegów aktorów pisze:

Przyjechałam z dwutygodniowego urlopu w Kazimierzu i zaraz pierwszego dnia na obiedzie spotykam znajomych. „Czemu nie było pani w Jastarni, ani w Juracie?” — „Bo byłam w Kazimierzu” — „No tak, ale afisze anonowały pani występy w Juracie i Jastarni! Tak się nie robi”. — Jakże afisze? Jakże występy? — Z rozmowy dowiedziałam się, że jakoby warszawski Kabaret Filmowy „Iluzjon” odwiedził te dwie nadmorskie miejscowości. Zaraz potem ukazał się w tygodniku „Świat” list poruszający tę samą sprawę, a więc rzecz dojrzała do wyjaśnienia.

Wyjaśniam: umieszczenie mego nazwiska na afiszu, jak również nazwisk kol. kol. K. Mielczarka, T. Janczara oraz K. Rózewicza — było uczynione bez najmniejszego porozumienia z nami i całkowicie bezprawne. Protestujemy tą drogą przeciw podobnym nadużyciom jednocześnie zawiadamiając, że nie jesteśmy w stanie odpowiadać za nieodpowiedzialne poczynania niepoważnych organizatorów.

ALINA JANOWSKA  
Warszawa

Zatem już wszyscy: nasi Czytelnicy, aktorzy kabaretu filmowców „Iluzjon” i redakcja są absolutnie zgodni w ocenie postępowania organizatorów wspomnianej imprezy „kulturalno-rozrywkowej” na Wybrzeżu. Jak dotąd milczą tylko: kierownictwo artystyczne kabaretu „Iluzjon” oraz zarząd Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych, które są odpowiedzialne za tę niemal afere.

Ob. Z. KRUK z Gdyni pisze:

Zawsze mi się wydaje, że pisarze, których książki czytałem, a wydane były przed 39 r., nie żyją już. Jednak nie zawsze tak jest. Tym razem dowodem tego jest wzmianka w artykule tygodnika „Świat”, która niezmiernie mnie ucieszyła, że Bruno Winawer żyje...

A oto fragment artykułu Kazimierza Wroczyńskiego o Bruno Winawerze (Świat nr 21/148 z 23.V.1954 r.), na który ob. Z. Kruk się powołuje:

„Ostatni raz widziałem się z Winawerem na kilka dni przed wybuchem drugiej wojny. Warszawa tętniła gorączką, na której tle stoickie uwagi Winawera miały w sobie coś z jego „Księgi Hioba”, jakby wy-czuwał potworną falę wypadków, w której i sam miał znaleźć swój „koniec wędrówki”. Wybuchła wojna. Obłężenie Warszawy. Okupacja. Straciliśmy się z oczu. Dowiedziałem się potem, że przebywa w getcie, a w jakiś czas później, że udało mu się uciec z getta. Ostatnie wiadomości, jakie mnie doszły o Winawerze, głosiły, że zmarł na skutek róży czy też gruźlicy kości.

On jeden, tylko mógłby opisać, jak po dantejsku przeszedł to piekło za życia. Gdzie pochowany — nie wiadomo. Zginął nie wiedząc gdzie i kiedy, jak tyle jego prac i rękopisów...”

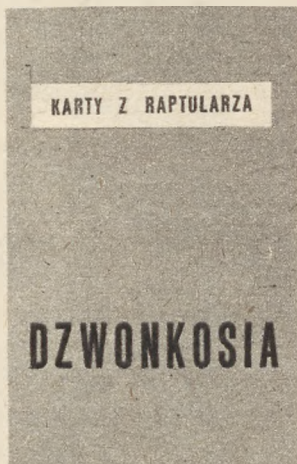
Cóż — po prostu trzeba uważnie czytać.

„ŚWIAT”

OD Radzymina do wsi Ruda jest kawałek drogi, ze cztery albo pięć kilometrów co najmniej. Wysiada się z mareckiego „samowarka” i dalej idzie się bardzo piaszczystą drogą między podradzyńskimi polami, między olszyną, brzezina i sosnowym laskiem Rejentówki i dalej — aż do samej Rudy, tam gdzie kończą się pagórki i wokół rozciąga się rozległa, żółto-zielona płaszczyna. Między tymi olchami, między łąkami i wydmami białego piasku płynie przez brzoza Rząca i dalej, dalej wpada do Bugu.

Stara Dzwonkosia zna na pamięć każde zakole Rzący, każde stare drzewo tutaj. A o piasku, zwykłym, jak się zdaje, piachu, opowie-dzieć może „cudy-niewidy”. I opowiada... Czasu ma sporo, bo na starość przyszło jej pasac synowskie i wnukowe krowy i owce. Czasem trzeba podbiec do krow, zawrócić je kijaszkiem, żeby nie lazły, gdzie im nie kazano. A potem — można posiedzieć spokojnie. Za krową skacze Dzwonkosia gracko, jak dziewucha, nie jak 87-letnia staruszka. Biega bo-so po roście, przesiaduje na mokrej trawie — i dobrze jej z tym. Wilgoć jej nie szkodzi. — Ja nie z tych — mówi — co artrety czy romatys dostają, mnie to służy. Jeszcze nigdy żadnych bólów po kościach nie miała. Wszystko, co się ogląda przy pasieniu, wszystkie wiejskie sprawy są dla niej

Tekst i zdjęcie: JERZY FICOWSKI



tak oczywiste, zwyczajne, powszednie, że nie może po-jać zachwytów czyichś nad zielenią, nad słońcem... Bo i czemu tu się dziwić, nad czym zdumiewać? Zielen — jak to zielen, Ruda — jak Ruda, słońce — jak słońce. Jak wczoraj było, tak dziś jest i będzie na wieki wieków. W Rejentówce, w małym domku ocienionym so-sną i mleszka para naszych wybitnych pisarzy — Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki. Kiedyś idąc łąką nad-rzeczną zachwycali się pięknym zachodem słońca. Nagle

ozwała się, zdumiona tymi zachwytałmi, Dzwonkosia: „Moja Kornacka! Przecież słońce co dzień zachodzi!” Ano, napatrzyła się na te zachody od 1868 roku i już ją to nie bawi. Co innego — rzeczy minione, żyjące tylko w pamięci, co już po nich — ani widu, ani słychu. O tych lubi opowiadać w chwilach między jednym skokiem za krowką a drugim, jeśli nie czyta właśnie. Bo często zabiera ze sobą na pastwisko strzępy jakichś gazet i wytytuje sobie no-winy ze świata; a czyta bez szkiele. Nauczyła się tej sztuki z osiemdziesiąt lat temu od wsiowych dziewczyn. Owszem, miała też elemen-tarz na 16 kartek i 32 stro-ny, i taką książkę początko-wą, w której liczyło się do sta...

Najmilej wspomina się we-sela: swoje i cudze. Swoje miała tylko raz, a cudzych było dwadzieścia cztery, na których Dzwonkosia była starszą drużyną. Na swoim była strójna, do dziś swoimi ślubnej nie zapomni. Nie-bieska spódnica, szeroka na dziesięć lokci, miała cztery „bryty” — jak to się mó-wiło — i można było ją z obu stron rozwinąć, podnieść aż na wysokość ramiona, roz-kładała się pięknie, jak in-dygo ogon... A bluzka do niej była też modra... We-sela byłyby huczne; jak się w niedzielę zaczęło, to cią-gnęło się aż do czwartku... Kawy się dawało, barszczu i chleba w ręce. W poniedziałek po gości się rozchodzili... Wianek się plotło na ziele czy jałowcu. No i muzyka była nie lada jaka. Chleb był do jadła, kołacz. Bo czy to widział kto ciasto wtedy? Przychodził czas na rozple-ciny, drużbowie narzeczonej warkoc rozplatali, a ona śpiewała:

Mój warkocku cesany,  
Będziesz teraz pojmany,  
Od družbecków targany...

LENGREN



— Babciu, szkoła jest w deche... Gram na środku napadu... Pierwsza B wysiada z nami pięć do zera!

delko, ludzie: oczy w nim myli, chore miejsca pokrapiali. Mój nieboszczyk raz przy goleniu tracił się brzytwą i przez dziewięć lat ją-trzyła mu się rana i odna-wiała. Aż zmył ją wodą ze źródła i całe nieszczęście raz-dwa znikło. O cudach z tej wody było wiele napi-sane w specjalnych księgach, które spłonęły w czasie ostatniej wojny; a były tam opisane wszystkie cudowne uzdrowienia od 700 lat!

Niewątpliwie, woda tamtej-sza zawiera jakieś lecznicze składniki; to właśnie sprawi-ło jej powszechną wiarę w nadprzyrodzone jej właści-wości. Wiadomo: tak wy-obrażnia ludowa nierzadko tłumaczyła sobie niejedno z naturalnych zjawisk przyro-dy. A jak tłumaczyła nauka leczniczą wartość wód Rzą-cy i pobliskiego źródła? Otóż właśnie, że wcale nie tłumaczy. Po prostu nie zaintereso-wała się dotychczas tym arcyciekawym zjawiskiem. A chyba warto. Któż utwierdzał wyobraźnię ludową w jej przekonaniu o cudowno-ści tych miejsc? Byli tacy, mający w tym całkiem niezły i zgola doczesny interes. Ktoś tam wyorwał „żelazny obraz święty” i odtąd „dzierzawit” od kościoła to miejsce jakiś wpływowy diad. Siadał w dołku, piaseczek wy-brał sobie, uszykował i przy-brał po garście sprzedawał, a mniej niż 10 kopiejek nie brał. Przychodzili lu-dzie, kupowali piasek, a diad się bogacił i coraz głębiej zapadał, bo po trochu dół się robił z dołka. Każdy, kto kupił, musiał wedle zwyczaju, odnawiając mod-litwę, obejść diada wokół, siając po drodze swój piach. To po takim dniu trzeba było diada na pasach od u-przęży wyciągać z tego do-lu jak ze studni, bo by się inaczej nie wygrabolił. Dół był już głęboki — tyle z nie-go diad piasku wybrał, a wokoło nad nim porobiły się całe zasy i od sypanego pia-chu przez pielgrzymów. Ma-jątek diad na tym robił, a żona w patubie robiła się coraz tłustszą. A i inni za-rabiali pieśnią diadowską i modłami. A jak się czasem bili kijami swoimi, kostura-mi — aż strach! To było święte miejsce. Ludzie, co tu ze światła się schodzili, całą lipę z kory i liści ob-dzielali na pamięć, bo na tej lipie wisiał żelazny obraz święty dobyty spod ziemi. Po takim sezonie diadostwo ruszało w swoich patubach na dalsze odpustowe zabobki.

Zniknęły diady, nigdzie ich tutaj teraz nie uswiad-czysz. Nawet i ludzie po tro-chu o źródelku zapomnieli, a piaski tylko wiatr przesy-puje na wydmach. Józefa Dzwonkowska własnymi o-czami oglądała te zamierzch-

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY  
Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala: 6-41-02, 6-41-23. Admini-stracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówie-nia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Je-rozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Włókiensko i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 573. Papier rotogr. V/80—82 cm — B-6-1159 podpisano do druku 30.VIII.1955 r.



grana w półfinałach tegorocznych mistrzostw Moskwy.

## DEBIUT BEN ONI

Białe: Moisiejew

Czarne: Panow

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c3-c4 c7-c5 3. d4-d5 e7-e5 4. Sb1-c3 d7-d6 5. e2-e4 Gf8-e7

W debiucie Ben Oni czarne zazwyczaj rozwijają gońca na g7. Panow jest jednak znanym specjalistą od tego debiutu i wprowadził tam szereg nowych idei.

6. f2-f3

Białe schematycznie rozgrywają otwarcie. Gdy czarny gońiec stoł na e7, plan ataku pionami na królewskim skrzydle jest błędny.

6... 0-0 7. Gc1-e3 Sf6-e8 8. Hd1-d2 f7-f5 9. e4:f5 Gc8-f5 10. 0-0-0

Białe konsekwentnie realizują swój plan, co jednak jest bardzo ryzykowne. Należało raczej przygotować krótką rozszadę.

10... a7-a6 11. Gf1-d3 Gf5:d3 12. Hd2:d3 b7-b5 13. c4:b5

Ostrożniej było nie przyjmować ofiary piona grając 13. Sge2.

13... ab:b5 14. Hd3:b5 Ge7-g5 15. Hb5-d3

Silniejsze było 15. G:g5 H:g5+ 15. Wd2 i 17. Sh3.

15... Sb8-a6 16. Ge3:g5 Hd8:g5+ 17. Hd3-d2 Hg5-g6 18. Hd2-c2 Hg6-f7

Czarnych, oczywiście, nie zadowala remis przez powtórzenie posunięć: 18... Hg5+ 20. Hd2 Hg6 itd.

19. a2-a3 Se8-f6 20. Sg1-e2

Aktywniejsze było 20. Sh3

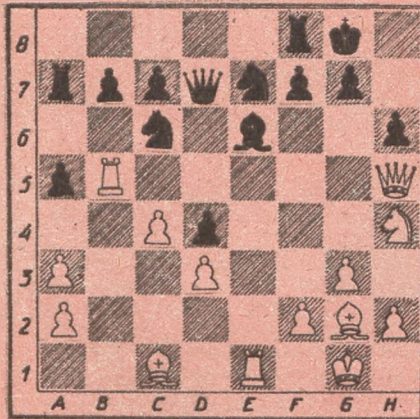
20... Wf8-b8 21. Sc3-e4 Sf6:e4 22. f3:e4 c5-c4 23. Kc1-b1 Hf7-b7 24. Kb1-a1 Sa8-c5 25. Wd1-b1 Hb7-a6 26. Se2-c1

Grozilo 26... Wb3 i 27... W:a3+

26... Sc5-b3+ 27. Ka1-a2 Sb3-d4 28. Hc2-f2

Przegrywało i 28. Hc3 Wb3! 29. S:b3 c:b3+ 30. Ka1 Sc2+

28... Wb8-b3! 29. Ka2-a1



Pozycja po 29. Ka2-c1

29... c4-c3! 30. Wh1-f1

Lub 30. S:b3 H:a3+!! 31. b:a3 W:a3+

32. Ha2 Sc2 mat.

30... Ha6: f1! i białe poddały się. Na

31. H:f1 nastąpi 31... W:a3+ 32. b:a3

W:a3+ 33. Sa2 Sc2 mat. Efektowny finał.

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

## ROZWIĄZANIA ZADAŃ

## ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 206

KRZYŻÓWKA. Pomimo: Fast, łoże, Krzna, tara, tusz, ind, bies, woal, Motor, kula, szok. Pionowo: flet, tura, lont, Efex, krzem, Zenit, autor, Bask, sofa, WOKS, lajk. Prawoskośnie: foka, toast, lecz, nimfa, boja, wrak. Lewoskośnie: test, tukan, etat, tarka, smak, Laos.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 206 nagrody książkowe otrzymują: U. Pawlak — Bydgoszcz, S. Słonek — Dąbrowa Górnicza, M. Grzegorzewska — Elbląg, L. Prosiński — Elk, A. Gomuński — Istebna, A. Maczyńska, B. Sulińska — Kraków, W. Wodzinowski — Łódź, A. Podbielski — Maków Maz., I. Koper — Minkowice, K. Adamus — Nowy Sącz, K. Marciniewicz — Prudnik, W. Dulebski — Radom, W. Tyc — Stalinogród, J. Juliusz — Strzemieszyce, Z. Bońkowski — Tczew, L. Pozorski, J. Skuza — Warszawa, A. Czarnocka — Wolbrom, T. Utratny — jedn. wojsk.

## ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 207

LOGOGRYF: Więcej węgla, stali, tkanin! (urwisko, Kwiatek, kręta, Sycylia, premier, Kajetan, Nowikow, trebacz, begonia, samiak, prawnik).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 207 nagrody książkowe otrzymują: A. Wicher — Chorzów, J. Chwini — Gdańsk, Oliwa, T. Broekere — Gliwice, A. Modzelewska — Kołorów, J. Hoffman — Łódź, W. Bauer — Przemyśl, M. Pisula — Stalinogród, W. Durek — Wałbrzych, T. Jankuniec, L. Maciejewska, Z. Utkowa — Warszawa, B. Lilip — Włochy, I. Wandokanty — Wrocław, Z. Fułowska — Zabrze, J. Kowicka — Zakopane, T. Jajko — Zator, R. Baclor — Żarki.

## KRZYŻÓWKI

Pozłomo: 1) Czołowy ping-pongiści polski, 3) Harmonijka uszna, 7) Wynagrodzenie w naturze, 9) Zdrobione imię żeńskie, 10) Symbol pychy, 11) Zastawa wodna, 12) Pułapka na muchy, 13) Jeden z miasteczek, 14) Najlepszy biegacz polski, 16) Biała broń, 17) Inicjator hasła „Ja nie wypuszczę braku”, 19) Łączy metale, 22) Płaski rytmiczny, 24) Litera grecka, 25) Bogini zemsty, 26) Zdrobione imię żeńskie, 27) Zaimek, 28) Wy-

nalazca dynamitu, 29) Metal szlachetny, 30) Ogłoszenie, zawiadomienie, 31) Okamgnienie, 32) Upozoruje, 33) Postać z „Chaty z wsią”, 34) Zwycięzca maratonu na ostatniej olimpiadzie, 35) Rasa owcy.

Pionowo: 1) Strzelba myśliwska, 2) Gatunek motyla, 3) Ser owczy, 4) Szybki taniec, 5) Piwo angielskie, 6) Nacisk, 8) Uczelnia zawodowa, 10) Taniec polski, 15) Dawny władca litewski, 17) Zarobkowa nazwa Amerykanina, 18) Kolor uprzywilejowany w grze

w karty, 20) Rozkaz sultana, 21) Mieszkaniec jednej z autonomicznych republik radzieckich, 22) Moneta perska, 23) Zawiadomienie, 36) Moneta japońska.

(„Spart” — Cieplice)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody książkowe



— Poczekaj! Jak będę w pełni, to ci pokażę, szczeniaku!!

## HUMOR ATOMOWY

rys. JERZY CISZEWSKI



## DIALOG NIEZIEMSKI

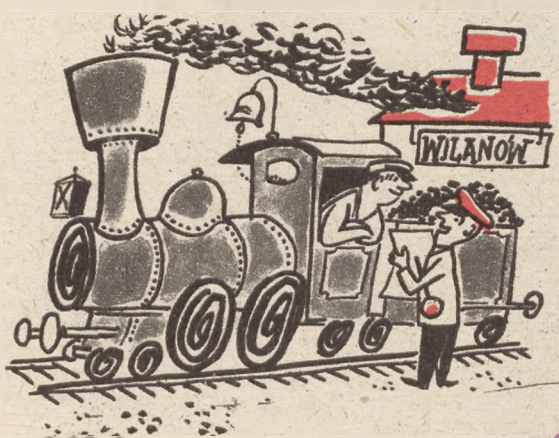
— Wolny?  
— A dokąd?  
— Na Ziemię...  
— Za mały kurs! Przejdź się pan piechotą.



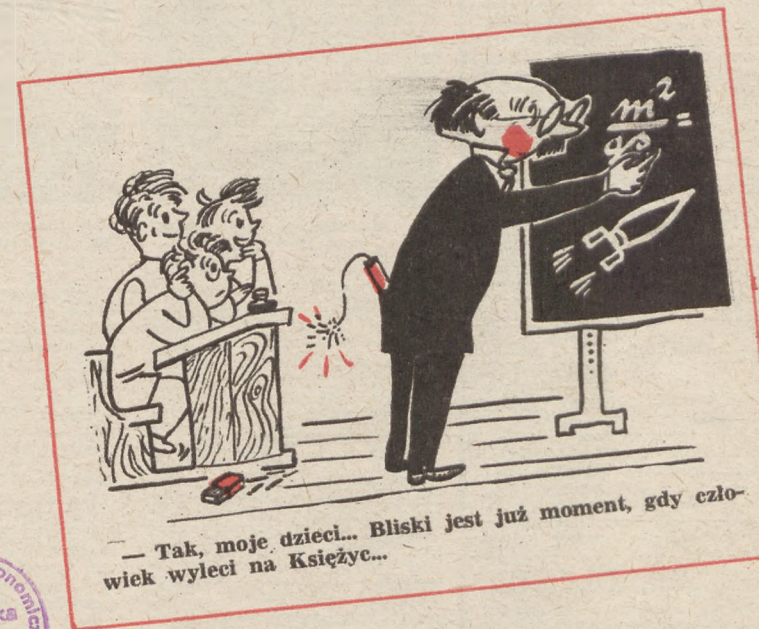
— Ty!... Daj się przelecieć!!!



Jadę rakieta towarową. W ten sposób zaoszczędzę na podróży służbowej...



— Panie zawiadowco, kiedy dostanę napęd atomowy?



— Tak, moje dzieci... Bliski jest już moment, gdy człowiek wyleci na Księżyc...

